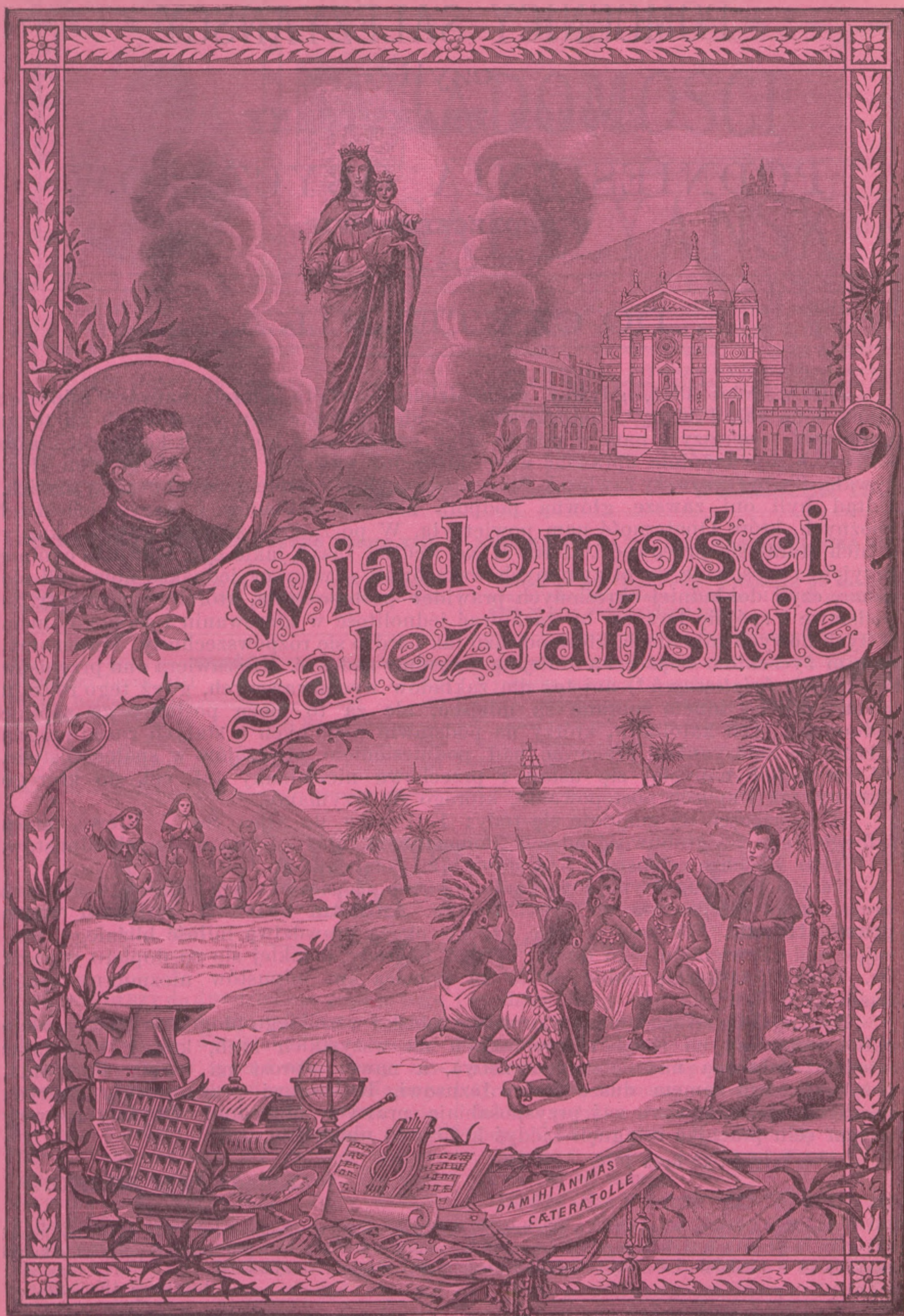
N. 9. Rocznik VI. Wrzesień 1902.



Turyn — Drukarnia Salezyańska — Turyn.

POMOCNICY SALEZYAŃSCY

czyli

SPOSÓB PRAKTYCZNY

PODNIESIENIA OBYCZAJÓW

W SPOŁECZEŃSTWIE.

DO CZYTELNIKA.

Już w roku 1841, gdyśmy w niedziele i święta zaczęli nauczać młodzież opuszczoną zasad wiary i odprawiać dla niej nabożeństwa w osobnych ku temu kaplicach, pospieszyło nam w pomoc kilku pobożnych a gorliwych kapłanów i osób świeckich, by wspólnie uprawiać niwę, która już wówczas nader obfity plon obiecywała. To był pierwszy zawiązek *Pomocników* czyli Współpracowników salezyańskich. Odtąd byli oni zawsze główną podporą naszych zakładów i wszystkich dzieł zbożnych, które Opatrzność nam powierzyła. W początkach swojego zawodu każdy z nich starał się pracować i kierował się według zasad, jakie były wówczas ogólnie przyjęte i stósownie do otrzymanych wskazówek, — wszyscy jednakże domagali się *ustaw*, czyli dokładniej określonych prawideł postępowania, któreby im służyły za podstawę i spójnię łączącą, by zachować jednolitość w kierowaniu i jednego ducha w tych nowych zakładach, które od razu tak bardzo się rozpowszechniły. Mniemamy, iż tym życzeniom książeczką niniejszą uczynimy zadosyć. Nie zawiera ona przepisów dla *Kaplic świątecznych* *) ani też dla zakładów wychowawczych, gdyż tego rodzaju wskazówki na innem zebrane są miejscu, ale za to może posłużyć za spójnię jednoczącą tych katolików, którzy na podstawie wspólnych a stałych zasad pragną łącznie ze Salezyanami pracować nad podniesieniem obyczajów w społeczeństwie. W ten sposób najlepiej się ustali i przechowa niezmienny tak cel, do którego dążymy, jak i sposób postępowania, którego się trzymamy.

W książeczce tej znajduje się tedy: 1. Prośba do Ojca Św. i Brewe, mocą którego Jego Świątobliwość udziela Pomocnikom salezyańskim osobnych odpustów. 2. Wykaz onychże odpustów. 3. Ustawy dla Pomocników.

Naucza św. Augustyn: *Przyczyniając się do zbawienia duszy bliźniego, tem samem swoją własną ubezpieczasz na żywot wieczny.* **Animam salvasti, animam tuam praedestinasti.** Wszyscy ci więc, którzy okażą prawdziwą miłość bliźniego, pracując nad zbawieniem jego duszy, oprócz nagrody, o jakiej się co dopiero wyraził św. Doktor, zaskarbią sobie nadto za pomocą św. odpustów niezmierny zasób duchowy.

Niechaj Bóg Wszechmogący, rozdawca łask i wszelkiego błogosławieństwa, zleje obfite zdroje swych skarbów niebieskich na wszystkich tych, którzy wspierając młodzież narażoną na niebezpieczeństwa, a nawet wprost na utratę zbawienia, pozyskują tem samem dusze Panu Jezusowi, Kościołowi przygotowują dobrych wiernych, społeczeństwu zaś przysposabiają prawych obywateli. Obyśmy wszyscy w tym celu pracując osiągnęli kiedyś królestwo niebieskie. Amen.

W Turynie, 12 lipca 1876.

Ksiądz JAN BOSKO.

---

*) *Kaplicą świąteczną* (po włosku *Oratorio festivo*) nazywa się w Zgromadzeniu salezyańskiem jemuż właściwe, a przez założyciela jego, X. Jana Bosko, najpierw w użycie wprowadzono połączenie nauki katechizmu w niedziele i święta ze szkółką niedzielną i różnemi rozrywkami.

Przypisek tłomacza.





WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

Wychodzą w językach: *włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim i polskim*
Pomocnikom salezyańskim posyłają się **bezpłatnie**.— *Adres*: TURYN, Via Cottolengo 32, ITALIA.

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (MAT. XVIII. 5)

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież PIUS IX.)

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. LEON XIII.)

ROCZNIK VI. N°. 9. Wychodzą co miesiąc. **WRZESIEŃ 1902**

OREMUS PRO PONTIFICE NOSTRO LEONE XIII.

Dominus conservet eum et vivificet eum et beatum faciat eum in terris et non tradat eum in animam inimicorum eius.

MÓDLMY SIĘ ZA PAPIEŻA NASZEGO LEONA XIII.

Niech go Bóg zachowuje, wzmacnia go, niech go uczyni błogosławionym na ziemi i niech go nie podaje w moc nieprzyjaciół jego.

TREŚĆ:

	Str.
Testament Leona XIII	233
Ksiądz Bosko a Wychowanie (*Ciąg dalszy*)	239
Reprezentant Najprzew. X. Michała RUA w Ameryce (*Ciąg dalszy*)	243
Misye salezyańskie w Ziemi Ognistej	247
Wycieczka misyjna (Brazylia)	250
Łaski, wyjednane za przyczyną Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych	252
Kronika salezyańska	255
Rozmaitości	258

TESTAMENT LEONA XIII.

Doszedłszy do dwudziestego piątego roku Naszego urzędu apostolskiego, dziwimy się sami przebytej wśród ciężkich, bezustannych trosk, drodze życia i odczuwamy zrozumiałą potrzebę podniesienia serca Naszego do Boga wszechdobrotliwego, który, między tak licznemi dobrodziejstwami, raczył Nam łaskawie udzielić tak długich rządów, jakie trudno znaleźć w dziejach. Do Ojca wszystkich w Niebiesiech, który dzierży w Swej dłoni tajemnicę życia, niechaj wzniesie się zatem z głęboko wzruszonego serca Naszego hymn dziękczynienia. W istocie, oko ludzkie nie jest zdolnem zbadać zupełnie wyroków Bożych, że tak długo, czego zaledwie spodziewaliśmy się, utrzymał życie Nasze. Możemy tylko skłonić przed Nim czoło w cichem uwielbieniu. Jedno atoli wiemy: to, że jeśli Bogu podobało się i podoba utrzymać życie Nasze, to mamy obowiązek działać dla dobra i pożytku Jego niepokalanej Oblubienicy, Kościoła, nie odstraszać się trudami i znojami i ostatnie resztki sił Naszych oddawać na Jej usługi.

Gdyśmy Ojcu Naszemu w Niebiesiech — któremu cześć i chwała na wieki — złożyli winny hołd wdzięczności Naszej, miłym dla Nas obowiązkiem jest zwrócić serce i usta Nasze ku Wam, Bracia czcigodni, których Duch św. powołał do tego, byście paśli pojedyńcze części

trzody Chrystusowej i którzy z tego powodu uczestniczycie w walkach i zwycięstwach, bólach i radościach najwyższego urzędu pasterskiego. Nie — nigdy Nam nie zatrą się z pamięci liczne, świetne dowody wiernego oddania się, jakie złożyliście w czasie długiego pontyfikatu Naszego i które powtórzyliście teraz w szlachetnem współubieganiu się. Ponieważ czujemy się jak najściślej zespoleni z Wami obowiązkiem urzędu i ojcowską miłością, przeto są nam te pobożne objawy posłuszeństwa w najwyższym stopniu pożądane, nie tyle dlatego, że odnoszą się do Naszej osoby, ile raczej, że są dowodem przywiązania do tej Stolicy apostolskiej, która stanowi punkt środkowy i podstawę wszystkich innych biskupstw świata katolickiego. Jeżeli kiedykolwiek była dla wszystkich członków hierarchii kościelnej potrzebną zobopólna miłość, jedność w myślach i zamiarach, iżby przedstawiali jedno serce i jednego ducha, to jest to pożądane obecnie więcej, niż kiedykolwiek. Któż mógłby ogarnąć, w jakim stopniu rozgałęzione szeroko połączenie się wrogich mocy dzisiaj dąży do tego, aby zniszczyć i zgubić wielkie dzieło Jezusa Chrystusa, gdy z bezgraniczną wytrwałością starają się zniweczyć w porządku intellektualnym skarb prawd Bożych i podkopać w porządku społecznym najświętsze i najżyźniejsze urządzenia chrześcijańskie?

Ale sami mogliście codziennie chwytać rękami te rzeczy, Wy którzy Nam tak często wyrażaliście swą boleść nad potopem uprzedzeń i fałszywych systemów i błędów, które szerzą się bezkarnie wśród wielkich zastępów ludu. Na ileż to zasadzek są narażone wszędzie dusze wiernych! Iluż to przeszkodami usiłuje się codziennie osłabiać dobroczynne działanie Kościoła i ubezwładnić je, ile możności! A tymczasem, aby poniekąd do krzywdy dodać jeszcze szyderstwo, podnosi się przeciw temuż Kościołowi oskarżenie, iż nie jest zdolny podnieść znowu dawnej cnoty i utrzymać na wodzy dzikich i pustoszących namiętności, które grożą ostateczną zagładą.

Chcielibyśmy chętnie zająć Was, czcigodni Bracia, przyjemniejszymi przedmiotami, któreby licowały także więcej z radosną okazyą, pobudzającą nas do zabrania głosu. Ale do tego nie uprawnia Nas ani ciężki ucisk Kościoła, wymagający ulgi natychmiastowej, ani też położenie obecnego społeczeństwa, które, po zarzuceniu wielkich tradycyi chrześcijańskich, już cierpi moralną i materyalną niedolę, a jeszcze bardziej zsuwa się po pochyłości, ponieważ prawem Opatrzności, jakie potwierdzają także dzieje, jest, że nie można porzucać wielkich zasad religijnych, a równocześnie nie zachwiać posad dobrobytu obywatelskiego. Wobec takiego położenia rzeczy, pożyteczną jest rzeczą dla przejęcia umysłów nową pojednawczością, odwagą i wiarą, aby zastanowić się nad walką, wszczętą ku szkodzie Kościoła, nad jej powstaniem, przyczynami i jej różnemi postaciami, wskazać na jej zgubne następstwa i dać do ręki środki ocalenia.

Niechaj więc, wspominając także słowa, które wypowiedzieliśmy przy innych sposobnościach, zabrzmi głos Nasz daleko, i to nietylko do pobożnych synów jedności katolickiej, lecz i do stojących na uboczu, a także do tych nieszczęśliwych, którzy nie wierzą! Toż wszyscy są synami jednego Ojca i przeznaczeni do jednego najwyższego dobra. — Oby ten głos brzmiał jak testament, który, będąc blizcy wieczności, chcemy przekazać ludzkości z żądaniem i życzeniem wspólnego dobra.

Święty Kościół Chrystusowy musiał po wszystkie czasy cierpieć przeciwności i prześladowania za prawdę i sprawiedliwość. Ustanowiony przez Chrystusa samego, aby na świecie szerzył Królestwo Boże, za pomocą światła Ewangelii prowadził upadłą ludzkość do przeznaczenia nadprzyrodzonego i aby jej udzielił dóbr nieśmiertelnych, przyobiecanych od Boga, ale przewyższających nasze siły, musiał koniecznie zetknąć się z namiętnościami, które wypływały z dawnego zepsucia, oraz z pychą, ze zmysłowością, z wybujałem pożądaniem rozkoszy ziemskich, z występkami i nieprawidłowościami stąd powstającemi, przeciwko którym zawsze Kościół z największą siłą występował.

A że są prześladowania, nie możemy się dziwić, ponieważ przepowiedział je Pan i Mistrz Nasz. Wiemy, że one i nadal trwać będą, dopóki świat istnieje. Cóż powiedział Pan do uczniów, gdy ich wysłał, ażeby Jego naukę opowiadali wszystkim narodom? Każdy to wie; powiedział: „Będziecie prześladowani od miasta do miasta, będziecie nienawidzeni i wzgardzeni dla Imienia mego, przed sądy was wodzić i na największe kary skazywać was będą“. A chcąc ich wzmocnić na te doświadczenia, wskazywał na Siebie jako na wzór: „Jeżeli świat was nienawidzi, wiedzcie, że przed wami mnie znienawidził;“ *„si mundus vos odit, scitote, quia me priorem vobis odio habuit“* (Joan. XV, 18). To są radości, to jest zapłata, obiecywana nam tu na ziemi.

Atoli nikt, kto rzeczy sądzi według miary sprawiedliwej i rozumnej, nie będzie mógł sobie wytłómaczyć właściwej przyczyny tej nienawiści. — Kogo obraził kiedykolwiek

Zbawiciel Boski, albo w jaki sposób ściągnął na siebie winę? Gdy zstąpił do ludzi z natchnienia nieskończonej miłości, ogłaszał naukę bez skazy, wzmacniającą i zupełnie skuteczną, aby ludzi uczynić braćmi w pokoju i miłości.

Nie pragnął ani ziemskiej wielkości, ani zaszczytów, ani przywłaszczał sobie praw drugich. Natomiast był nader miłosierny dla słabych, chorych, ubogich, grzeszników, uciśnionych, tak że Jego życie było tylko drogą, na której szczodrą ręką rozsiewał dobrodziejstwa wśród ludzi. Dlatego trzeba powiedzieć, że tylko czysty eksces złości ludzkiej, tem więcej pożałowania godny, im niesłuszniejszy, należy widzieć w tem, iż mimo to, według proroctwa Symeona, stał się istotnie kamieniem obrazy. *Signum cui contradicetur* (Łuk. II, 34).

Czyż przeto dziwić się trzeba, że Kościołowi katolickiemu, który kontynuuje Jego świętą misyę i zachowuje bez skazy prawdę wiary, ten sam los zgotowano? Świat pozostaje zawsze ten sam.

Obok dzieci Bożych są zawsze pachołki owego wielkiego przeciwnika rodzaju ludzkiego, który w buncie przeciwko Najwyższemu od początku nazwany jest w Ewangelii księciem tego świata. Dlatego świat wobec prawa i Tego, który je wydaje w Imię Boga, w bezmiernej pysze idzie gorączkowo za duchem niezależności, do której nie ma prawa. O, jak niezliczone razy w czasach burzliwych z niesłychanem okrucieństwem i bezwstydną brutalnością, na oczywistą szkodę całego społeczeństwa, nieprzyjaciele się połączyli w niedorzecznem przedsięwzięciu, zmierzającem zdeptania dzieła Bożego. A ponieważ żaden poprzedni sposób prześladowania nie prowadził do celu, próbowano nowego.

Państwo rzymskie przez całe trzy wieki, nadużywając swej brutalnej przemocy, wszystkie swoje prowincye zasiało męczennikami i ich krwią zrosiło każdą piędź ziemi tego wiecznego miasta!

Herezya, w przymierzu z niem, usiłowała, czy to w ukryty sposób, czy też z bezwstydną otwartością przez sofizmata i wszelkiego rodzaju zasadzki zniweczyć przynajmniej harmonię i jedność. Przyszły potem z północy, aby Kościół zburzyć, hordy barbarzyńców, a z południa przyszedł islam, pozostawiając za sobą wszędzie spustoszenie i ruiny.

W ten sposób z wieku na wiek przechodziło smutne dziwactwo nienawiści przeciwko Oblubienicy Chrystusowej. Nastąpił cezaryzm, podejrzliwy i potężny, niezadowolony z obcej wielkości, choć jego własna wielkość tak bardzo rosła, i ponawiał ustawicznie zaczepki, aby ujarzmić wolność i przywłaszczyć sobie cudze prawa.

Serce kurczowo się ściska na widok Kościoła w tak częstych uciskach i niewypowiedzianych bólach. Tymczasem Kościół, pokonując zwycięsko wszelkie przeszkody, gwałty i zaczepki, coraz dalej i dalej rozszerza swoje namioty pokojowe, a strzegąc pełnego sławy dziedzictwa sztuk, historyi, wiedzy i literatury i w społeczeństwo ludzkie zaszczepiając głęboko ducha Ewangelii, wytworzył ową kulturę, którą nazywamy chrześcijańską.

Przez nią narody, które są pod jego wpływem dobroczynnym, mają sprawiedliwe prawa, łagodne obyczaje, opiekę nad słabymi, działalność miłosierną dla ubogich i nieszczęśliwych, poszanowanie praw i godności wszystkich i — o ile to możliwem wśród namiętności ludzkich — owo spokojne życie obywatelskie, które wynikło z lepszego stosunku wolności do sprawiedliwości.

A jednak pomimo tak oczywistych, długotrwałych i z powodu jego wewnętrznej doskonałości wzniosłych prób, widzimy Kościół w okresie nam bliższym, nie mniej jak w wiekach średnich i w starodawnych, zawikłany w walki, które pod pewnym względem były jeszcze twardsze i uciążliwsze. Z szeregu przyczyn, znanych w historyi, tak zwana reformacya XVI wieku podniosła chorągiew oporu, aby Kościół uderzyć w serce, zaczepiając groźnie Papiestwo.

Gdy zerwany był węzeł dawnej jedności w wierze — który łączył narody w jednej owczarni pod opieką macierzyńską i tak ciężko przy jednomyślności przedsięwzięć podwajał rozwój sił, wpływ i chwałę Kościoła — reformacya między stanami chrześcijańskimi wytworzyła godne pożałowania i zgubne rozdwojenie.

Nie chcemy powiedzieć, iżby zaraz od początku tego ruchu zamierzano usunąć ze świata królestwo rzeczy nadprzyrodzonych, ale gdy z jednej strony zaprzeczono prerogatyw Stolicy Apostolskiej, głównego źródła jedności, i z drugiej strony ogłoszono zasadę wolnego badania Pisma św., budowa Boża była zachwiana w fundamentach, i otwarto drogę dla niezliczonych zmian, wątpliwości i negacyi także w rzeczach, mających największe znaczenie, które to zmiany przekroczyły daleko pierwotne zamiary nowatorów.

Gdy tak drogi się rozłączyły, nadeszła pyszna i szydercza filozofia XVIII wieku, która postępowała coraz dalej.

Ośmieszała święte księgi Testamentu i ryczałtem odrzuciła wszystkie prawdy, od Boga

objawione, aby nakoniec w sumieniu narodów zniweczyć wszelką wiarę i religię i wszelkie tchnienie idei chrześcijańskich. Z tych źródeł powstały smutne i godne pożałowania systemy racyonalizmu i panteizmu, naturalizmu i materyalizmu, dawne, od Ojców Kościoła i apologetów już zwycięsko odparte, błędy w nowej szacie; tak, że pyszni tych czasów, chcąc sami z siebie wszystko rozpoznawać, błądzą i zwracając się do idei pogańskich, zaprzeczają nawet właściwości, która ją odznacza. Walka przeciw Kościołowi w takich warunkach przybrała gorszą formę, niż przedtem, tak pod względem ostrości, jak i ogólności napaści.

Bo dzisiejsza niewiara nie pozostaje przy wątpliwości albo negacyi tej lub owej prawdy wiary, lecz zwalcza również całość zasad, uświęconych przez objawienie, a przez zdrową filozofię objaśnionych: owych świętych i fundamentalnych zasad, które człowieka zapoznają z jego celem ostatecznym, wskazują mu drogę obowiązku, dodają mu męstwa, obiecują mu nienaruszalną sprawiedliwość i zupełne szczęście po za grobem i uczą, jak ma rzeczy doczesne podporządkować wiecznym, ziemskie niebieskim.

A cóż przychodzi na miejsce tych zasad, tych niezrównanych filarów wiary? Straszliwy sceptytyzm, który się kładzie na serca zimny jak lód i stłumia wszelką wzniosłą dążność sumienia.

A jednak te tak fatalne nauki — czcigodni Bracia, jak widzicie — przeszły ze sfer idei do życia zewnętrznego i do publicznych urządzeń. Wielkie i potężne państwa ustawicznie je zastosowują w praktyce, oszołomione tem, jakoby w ten sposób kroczyły na czele postępu i cywilizacyi. I jak gdyby nie były obowiązane przyjmować i odzwierciadlać tego, co w życiu nowoczesnem jest najzdrowszem, publiczne władze sądzą, że nie mają obowowiązku czcić Boga publicznie, a nawet zbyt często to się zdarza, że, chwaląc się z indyferentyzmu wobec wszystkich religii, właśnie jedyną do Boga ustanowioną religię wrogo traktują.

Z tego systemu praktycznego ateizmu musiało koniecznie wyniknąć głębokie zamieszanie porządku moralnego i wynikło faktycznie, bo religia jest głównym fundamentem sprawiedliwości i uczciwości, jak to już nawet uznali sławni mędrcy starożytnego pogaństwa.

Jeżeli bowiem są zerwane węzły, jakie człowieka łączą z Bogiem, jako z powszechnym Prawodawcą i Sędzią, natenczas pozostaje jeszcze tylko ułudny obraz czysto obywatelskiej, albo, jak mówią, niezależnej moralności, która pomija wieczne Źródło i przepisy Boskie, a idąc tylko za swoją skłonnością, doprowadza do ostatniej i fatalnej konsekwencyi, że człowiek sam sobie prawa daje. Niezdolny do tego, aby na skrzydłach nadziei chrześcijańskiej podnieść się do wyższych dóbr, pragnąć będzie człowiek tylko ziemskiego pokarmu i będzie go widział w możliwie wielkiej sumie rozkoszy i w wygodach życia, które zaostrzają pragnienie zabaw, wzniecają żądzę bogactw, pożądanie szybkiego i nadmiernego zysku bez względu na sprawiedliwość, dalej powodują ambicyę, dla której zadowolenia człowiek się nie odwróci nawet od środków nieprawnych, nareszcie pogardę praw i władz publicznych, oraz powszechną wybujałość obyczajów, która pociągnie za soba prawdziwy upadek cywilizacyi.

Czy może przesadzamy smutne objawy logiczne tego bolesnego zamętu? Rzeczywistość, która jest namacalną, potwierdza, niestety, aż nazbyt Nasze zdanie. Toż znaną jest rzeczą, że jeżeli się nie użyje zawczasu środków zbawienia, natenczas zachwieją się podstawy społeczeństwa obywatelskiego, ponieważ także pierwsze zasady prawa i odwiecznej moralności doznają wstrząśnienia. Z tego powodu cierpią wszystkie składniki ciała społecznego ciężko, począwszy od rodziny. Państwo świeckie bowiem, bez względu na granice, i na główny cel swej władzy, wyciągnęło rękę, by sprofanować związek małżeński i pozbawić go religijnego piętna, targnęło się ono, o ile zdołało, na przyrodzone prawo rodziców do wychowywania potomności i zburzyło w różnych miejscach trwałość węzła małżeńskiego, uświęcając ustawami możliwość rozwodu, wynikłą z nieszczęśliwego pomysłu. Toż każdy widzi, jakie stąd wyrastają owoce: mnożą się po nad wszelką miarę małżeństwa, zawarte z brzydkiej namiętności. Te albo zrywa się po krótkim czasie, albo też wyradzają się w tragiczne zatargi, w skandaliczną niewierność, nie mówiąc już wcale o niewinnych dzieciach, które się zaniedbuje, albo które psują złe przykłady rodziców, lub jad, rozszerzony daleko przez państwo świeckie.

A z rodziną zachwiany jest także porządek społeczny i polityczny, głównie przez nowe zapatrywania, które wstępują w miejsce prawdziwego pojęcia najwyższej władzy, gdy sfałszowano źródło tejże. I w samej rzeczy, przypuściwszy, że władza rządowa miałaby być uzasadnioną, formalnie przez zgodność tłumu, a nie w Bogu, jako najwyższej zasadzie wszelkiej władzy, to wobec podwładnych straciłaby swój wzniosły charakter i przedzierżgnęłaby się w sztuczną zwierzchność, opartą na tak kruchej i zmiennej podstawie, jaką jest

wola człowieka. I czyż nie widać także skutków tego w ustawach publicznych? Aż nazbyt często wyrażają one zamiast „spisanego rozsądku“ tylko liczebną siłę i decydującą wolę jednego stronnictwa politycznego. Właśnie dlatego schlebia się wyuzdanym skłonnościom tłumu, pozostawia się wolną drogę namiętnościom ludowym, nawet wtenczas, gdy zagrażają spokojnej pracy obywateli, przyczem zachowuje się tylko możliwość chwycenia się później w razie potrzeby gwałtownej i krwawej represyi.

Przez odrzucenie wpływów chrześcijańskich, w których tkwią korzenie zdolności zbratania ludów i połączenia w jedną wielką rodzinę, przyjął się zwolna w podobny sposób także w stosunkach międzynarodowych system egoizmu i zazdrości, którego następstwem jest to, że narody spoglądają na siebie jeśli nie z nieprzychylną zazdrością, to co najmniej z nieufnością rywala. Dlatego w swych przedsięwzięciach aż nazbyt łatwo ulegają pokusie pominięcia wysokich pojęć moralności i sprawiedliwości, oraz obowiązku bronienia słabych i uciśnionych, i w pożądaniu bezgranicznego przyrostu bogactwa narodowego gonią tylko za powodzeniem i liczą się z dokonanymi faktami, pewni, że nikt ich nie przymusi do szanowania prawa. To są zgubne zasady, które brutalna siła sankcyonuje, jako najwyższe prawo świata. Stąd postępujące naprzód i bezsilne pomnożenie uzbrojeń wojennych, albo także ów pokój zbrojny, który pod wielu względami można porównać z najnieszczęśliwszymi skutkami wojny.

A nieszczęsne zamieszanie moralne było posiewem niepokoju i niezadowolenia, nieprawidłowego prądu w łonie tłumu ludów. Stąd pochodzą częste niepokoje i zamęty, które są prologiem najcięższych katastrof. Smutne położenie tak wielkiej części niższych warstw ludu, które z pewnością zasługują na pomoc i wsparcie, służy zarazem przedziwnie celom zręcznych agitatorów, a przedewszystkiem stronnictw socyalistycznych, — które zapomocą, szalonych obietnic, udzielanych tłumom ludu, zbliżają się do urzeczywistnienia swych okropnych zamysłów.

A ponieważ ten, kto się zsuwa po pochyłości, musi ostatecznie zejść na dno, tak też mściwa logika wydała na korzyść zasad prawdziwe zjednoczenie występców, rozkiełznała dzikie instynkty, które już przy pierwszych swych objawach wywołały największe przerażenie. Utworzyło się na silnych podstawach i połączyło się węzłem międzynarodowym Towarzystwo, które już jest zdolne podnosić wszędzie swą rękę zbrodniczą, nie lękając się przeszkód i nie cofając się przed żadną zbrodnią. Jego członkowie, którzy zerwali wszelkie związki ze światem obywatelskim, pomijając ustawy, religię, moralność, przybrali nazwę anarchistów i przedsięwzięli sobie, aby wszelkimi środkami, jakie może nasunąć tylko zaślepiona i dzika namiętność, odwrócić porządek społeczny z dołu do góry. A ponieważ tenże otrzymuje jedność i życie od władzy rozkazującej przeto główne ciosy wymierzone są przeciw władzy. Któżby nie zadrżał pod wpływem litości i niechęci na widok, że w okresie lat niewielu cesarzowie, królowie, naczelnicy najpotężniejszych republik, dlatego tylko byli napadani i mordowani, że dzierżyli najwyższą władzę?

Wobec tak wielkiego złego i tak wielkich niebezpieczeństw, które groźnie podnoszą głowę, jest naszym obowiązkiem na nowo zaklinać wszystkich ludzi dobrej woli, a mianowicie tych, którzy zajmują wybitne stanowiska, aby myśleli nad środkami zaradczymi i energicznie je zastosowywali. Pierwszym warunkiem jest, aby poznano te środki i ich wartość. Słyszeliśmy wysławiających pod niebiosy dobrodziejstwa wolności; ale w istocie ta wolność okazała się nieodpowiednią. Podnoszą się wszędzie konflikty ekonomiczne i walki klasowe. Nie widać ani śladu pokojowego życia obywatelskiego. Przeciwnie, każdy może poświadczyć, że wólność, jak ją po dziś dzień rozumieją, wolność prawdy i fałszu, prawdziwego dobra i jego przeciwieństwa, doprowadziła tylko do poniżenia tego, co szlachetne, święte i wzniosłe, do otwierania na oścież drzwi zbrodniom, samobójstwom, jednem słowem wszystkim namiętnościom ludu.

Ale twierdzono, że naprawa nauki, udzielającej szerokim warstwom ludu wyższego wykształcenia, będzie dostateczną tamą przeciwko złym tendencyom oraz utrzyma rzesze ludu w granicach uczciwości i sprawiedliwości. Smutna rzeczywistość pozwala nam dziś widzieć jasno, jak na dłoni, kto stąd skorzystał, że nauka jest pozbawiona religijno-moralnej podstawy wychowawczej.

Umysł młodociany przy braku doświadczenia i przy popędach namiętności podlega zaklęciu zgubnych nauk, mianowicie przez złą prasę obficie rozszerzanych, które wpływają nieszczęśliwie na rozum i wolę i żywią owego ducha pychy i nieposłuszeństwa, który tak często zakłóca pokój poszczególnych rodzin i gmin.

Wiele spodziewano się też po postępach wiedzy, i istotnie wielkie, niespodziewane, godne podziwu postępy wiedzy zaznaczyły się

w ostatniem stuleciu. Ale czy rzeczywiście były stąd tak obfite owoce, jakich wielu pragnęło i spodziewało się? Wiedza z pewnością otworzyła nowe poglądy duchowi ludzkiemu, rozszerzyła panowanie człowieka nad przyrodą i w stokrotny sposób polepszyła życie ziemskie.

Niemniej jednak czują to wszyscy i niektórzy wypowiadają to otwarcie, że rezultat zawiódł nadzieje. Musi to przyznać każdy, kto spogląda na stan moralności, na statystykę zbrodni, na wzrastający z głębi ruch, na panowanie siły nad prawem. Powierzchowny rzut oka wystarczy, aby poznać, że niewypowiedzianie smutne usposobienie ciąży na umysłach i ogromna próżnia otwiera się w sercach. Człowiek zawładnął nad materyą, ale ona nie mogła mu dać tego, czego nie posiada. Wiedza ludzka nie mogła rozwiązać wielkich kwestyi, które się odnoszą do najwyższych interesów ludzkości. Niezaspokojonem pozostało pragnienie prawdy, cnoty, rzeczy niezmierzonych. A ziemia ze swojemi skarbami i uciechami, ze swojemi różnorodnemi przyjemnościami życia, nie mogła usunąć niepokoju duszy.

Czyż tedy zdobycze kultury, wiedzy, cywilizacyi i rozsądnej wolności mają być wystawione na wzgardę?

Bynajmniej! Przeciwnie, winny być zachowane, popierane i wysoko cenione jako drogocenny kapitał, ponieważ co do swej natury są dobrymi środkami, jakie Bóg dał dla dobra ludzkości. — Ale w ich zastosowaniu trzeba zważać na to, aby nigdy nie pozbawiono ich żywiołu religijnego, na którym polega ich wartość, i który je czyni prawdziwie korzystnymi. Od tego zawisło rozwiązanie problemu. Jeżeli jaka istota organiczna w swej żywotności się cofa, to pochodzi to stąd, że ustają główne przyczyny, z których miała formę i istnienie.

Bez wątpienia należy jej przywrócić warunki życia, aby mogła wyzdrowieć i kwitnąć. A w niedorzecznym zamiarze wyemancypowania się od Boga, społeczeństwo ludzkie odrzuciło rzeczy nadprzyrodzone i objawienie Boskie, pozbawiło się w ten sposób życiodajnego wpływu chrześcijaństwa, które daje najpewniejszą gwarancyę porządku, zawiązuje najpotężniejszy węzeł braterstwa, jest niewyczerpanem źródłem wszystkich cnót osobistych i obywatelskich.

Po tem odłączeniu się od Boga nastąpił zupełny przewrot życia praktycznego. Do łona chrześcijaństwa musi przeto powrócić skołatane społeczeństwo, jeżeli mu leży na sercu własne dobro, spokój i zbawienie.

Jak chrześcijaństwo nie zstępuje do duszy człowieka tylko na to, aby ją naprawić, tak też nie wstępuje w życie publiczne państwa tylko na to, aby jego spójność wzmocnić.

Z myślą o nieskończenie mądrym, nieskończenie dobrotliwym i sprawiedliwym, mającym pieczę nad wszystkimi, Bogu, budzi w duszy świadomość obowiązku, osładza cierpienia, łagodzi gniew, zagrzewa do bohaterstwa.

Jeżeli przekształciło narody pogańskie — a ta przemiana była prawdziwem zmartwychwstaniem umarłych do życia, tak, że ustało barbarzyństwo, jak daleko chrześcijaństwo się rozszerzało — to też w równej mierze będzie zdolne przywrócić znowu porządek i spokój w teraźniejszych państwach i narodach po straszliwych wstrząśnieniach wskutek niewiary.

Ale to jeszcze nie wszystko: powrót do chrześcijaństwa nie jest prawdziwym i doskonałym środkiem zbawiennym, jeżeli nie jest powrotem i przywiązaniem do jednego, świętego, katolickiego, apostolskiego Kościoła, ponieważ chrześcijaństwo, objawia i ucieleśnia się w Kościele katolickim, tej niezależnie duchowej i doskonałej społeczności, która jest mistycznem ciałem Jezusa Chrystusa i ma jako widzialną Głowę Papieża, następcę księcia Apostołów. Kościół katolicki kontynuuje posłannictwo Zbawiciela, jest córką i dziedziczką Odkupienia, rozszerzał Ewangelię na całym świecie, bronił jej krwią swoją i opierając się na obietnicy pomocy Boskiej i nieśmiertelności, nigdy nie paktując z błędem, spełnia zlecenie, aby zachował bez skazy naukę Chrystusa aż do ostatniego ze stuleci. Jako prawowity nauczyciel nauki moralnej Ewangelii, staje się nietylko pocieszycielem i Zbawcą dusz, lecz także ustawicznem źródłem sprawiedliwości i miłości, oraz krzewicielem i obrońcą prawdziwej wolności i jedynie możliwej równości. W zastosowaniu nauki swego Boskiego Założyciela przestrzega w dobrze wymierzonej równowadze właściwych granic wszystkich praw i wszystkich prerogatyw całego społeczeństwa.

A równość, jaką ogłasza, pozostawia nienaruszoną różnicę rozmaitych stanów społecznych, jakie pochodzą oczywiście z natury rzeczy; wolność, jaką daje, aby przeszkodzić anarchii rozumu, który się oderwał od wiary i opuścił sam siebie, nie obraża praw prawdy, które są wyższe nad prawa wolności, ani praw sprawiedliwości, które są wyższe nad prawa liczby i siły, ani praw Bożych, które są wyższe nad prawa ludzkie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ksiądz Bosko a Wychowanie.

CZĘŚĆ DRUGA.

Wykształcenie religijne i moralne.

(*Ciąg dalszy*).

IV.

Modlitwa w domach ks. Bosko.

Modlitwa, koniecznie potrzebna do wytrwania w życiu cnotliwem i do zbawienia, jest obowiązkiem każdego chrześcijanina. Trzeba zatem koniecznie, żeby się modlił chłopiec, żeby się modlił młodzian i dorosły młodzieniec. Domy wychowawcze, w których modlitwa nieznana, w których modlitwa nieczczona, w których dusza uczniów związkiem modlitwy nie jest połączona z Świętym świętych, z Bogiem mocnym i nieomylnym, rodzić mogą tylko martwe owoce.

Matka chrześcijańska słowem i przykładem uczy dziecię swoje pierwszych modlitw. Katecheta uczy swych uczni znać Boga i modlić się do niego. Ks. Bosko jest ojcem i katechetą swych dzieci i dlatego chce przedewszystkiem nauczyć ich wielkiej powinności — modlitwy. Oto dlaczego pierwszy dom wychowawczy, jaki założył, otrzymał nazwę *Oratoryum*, co znaczy: dom modlitwy.

Nie masz rzeczy więcej odstręczającej od modlitwy nad przymus, modlitwa bowiem w istocie samej jest aktem woli, aktem całkiem wewnętrznym. Jest wszakże i modlitwa zewnętrzna, objawiająca się słowami: nazywamy ją modlitwą ustną. Ten rodzaj modlitwy ulega dozorowi, jest na porządku dziennym w domach salezyańskich i nakłada słodkie jarzmo swoje wszystkim w nich mieszkającym. Bo czy podobna sprawdzać wypełnienie tak ważnego obowiązku, jakim jest modlitwa, w tych domach wychowawczych, gdzie młodzież zostaje w milczeniu podczas Mszy św., nie odmawiając wspólnie pacierza porannego i wieczornego? W domach salezyańskich sprawa to łatwa, wszystkie bowiem modlitwy są ustne.

Pacierz poranny i wieczorny odmawia się wspólnie, to jest, wszyscy odmawiają go razem. Podczas Mszy św. odmawiają koronkę, litanię da Matki Boskiej i inne modlitwy aż do końca Mszy św.; łatwo zatem dostrzedz, kto się modli, a kto nie. Jużto bardzo ważna rzecz, gdy dozorujący asystent wypowie swą uwagę tygodniową w ten sposób: „Ten a ten chłopiec nie otwiera ust do modlitwy, ani w kaplicy, ani gdziekolwiek indziej.“

W wielu domach wychowawczych śpiewają podczas Mszy św. cichej. Jest to pobożny zwyczaj, który zajmuje uwagę i buduje dzieci. Wszakże od tego bywają łatwiej uwolnieni niż od pacierzy ustnych. Można się bowiem wymówić: Nie mogę śpiewać!“ Któżby atoli śmiał powiedzieć: „Nie mogę ust otworzyć, nie mogę pacierza odmówić“?

Metoda salezyańska, obowiązująca do modlitwy ustnej, jest cenniejsza pod względem dozoru, a nadto odpowiada usposobieniu dzieci.

Modlitwa całkiem myślna jest trudna, często niemożliwa, nawet dla osób przyzwyczajonych do zastanawiania się i dążących do doskonałości: niepodobna jej zatem narzucać dzieciom. Modlitwy wyczytane z książki do nabożeństwa są wątpliwej wartości. Niby się to czyta, ale się nie czyta, a wyobraźnia ucznia, patrzącego na książkę, najczęściej buja hen daleko od kaplicy i obecności Bożej.

Jednakże w domach salezyańskich są też chwile modlitwy cichej, a to mianowicie przed Komunią św. i po niej; wtedy bowiem panuje skupienie nawet w duchach najlekkomyślniejszych, w najwyuzdańszych wyobraźniach.

Co do wyboru modlitw, ks. Bosko przyswoił domom swoim modlitwy powszechnie używane: *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś*, *Witaj Królowo*. Dodaje się modlitwę do Anioła Stróża i do św. Alojzego Gonzagi, potrona uczącej się młodzieży; *Anioł Pański* odmawia się trzy razy dziennie, a *Z głębokości* rano i wieczorem.

W niedzielę podczas pierwszej Mszy św. do zwykłych modlitw porannych i koronki się

dodają *akty przed* i *po Komunii św.* W czasie drugiej Mszy św. śpiewają się pieśni nabożne lub Godzinki; wieczorem nieszpory według kalendarza dyecezyalnego, w końcu błogosławieństwo.

Tak więc odmawianie ustne modlitw tworzy pewien rodzaj psalmodyi, wznoszącej dusze ku Bogu i rzeczom niebieskim.

Nie należy jednak przypuszczać, że ks. Bosko zaniedbywał i lekceważył modlitwę myślną.

nie idące i wracające od Stołu Pańskiego, a zobaczycie, czy nie modlą się myślą, czy pobożność ich całkiem zewnętrzna.

W zakładach salezyańskich, o ile to jest możliwe, kaplica zawsze jest w środku domu, nawiedzanie Sakramentu jest rzeczą bardzo używaną i przez to cały dzień utrzymuje się w nich duch modlitwy, łączność z Bogiem przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Ale jak do Ojca idzie się tylko przez Syna.



Prezydentura i przedstawiciele Zjazdu dyrektorów kaplic świątecznych.

Był on zbyt dobrym teologiem na to, by nie wiedzieć, że jedynie modlitwa myślna łączy duszę z Bogiem, że ją oświeca i oczyszcza. I dlatego pragnie, by ją, o ile możności, łączono z modlitwą ustną, a nadto zaleca częste akty strzeliste, czego niepodobna uskutecznić inaczej, jak myśląc o Bogu i łącząc się z Nim przez akt gorącej miłości.

Temu, coby utrzymywał, że ustne odmawianie modlitw nadaje pobożności salezyańskiej znamię czysto zewnętrzne, odpowiemy: Przypatrzcie się konwentom benedyktyńskim. Tam wszystkie modlitwy bywają śpiewane; czyż stąd wynika, że pobożność benedyktyńska całkiem powierzchowna? Powiedzielibyśmy jeszcze: Spojrzyjcie na dzieci ks. Bosko, otaczające konfesyonał, a zobaczycie, czy umieją być skupieni! Spojrzyjcie na nie przed Komunią św. i po jej przyjęciu, spojrzyjcie na

tak do Syna mamy przystęp jedynie przez Maryę.

— „Snać że tu kochają Najśw. Maryę Pannę“, powiedział pewien kapłan, zwiedzający dom salezyański“.

— A po czemże to ksiądz dobrodziej poznaje? zapytał dyrektor.

— Bo się dużo do niej modlicie.

Tak jest. W domach salezyańskich modlą się do Matki Boskiej; często powtarzają *Zdrowaś Maryo*, *Witaj Królowo*, *Gwiazdo Morska.* Są to dzieci, okazujące Matce uszanowanie i miłość; są to dzieci, które wzywają Jej w potrzebach i ku Niej z całą zwracają się ufnością, wołając: *Najświętsza Panno Maryo, spraw bym zbawił duszę moją.* I z jaką miłością Królowa Niebios zwraca wzrok swój na domy gorliwego swego sługi, ks. Bosko, i jak obfite błogosławieństwa zlewa na domy,

które on dla Jej czci po całym świecie wznieść potrafił!

Modlitwa ustna, modlitwa częsta, modlitwa wznoszona do Szafarki łask Bożych, oto co wyróżnia salezyańskie domy wychowawcze, oto w czem leży ich moc i przyczyna ich rozkwitu. Im więcej dusza się modli, tem więcej się uświęca; im więcej się uświęca, tem więcej się modli. Podobnie im dom jaki jest świętszy, tem więcej się w nim modlą, a im więcej się w nim modlą, tem więcej dom ten staje się świętym i uświęcającym.

V.

Spowiedź w domach salezyańskich.

Sakrament Pokuty wraz z sakramentem Eucharystyi, do której przyspasabia, jest to sakrament w najwyższym stopniu uświęcający. Jest on jednocześnie sakramentem umarłych i sakramentem żywych: przywraca życie łaski Bożej chrześcijaninowi, który je postradał przez grzech śmiertelny, a wzmacnia je w tych wiernych, co to życie zachować umieli. Pokuta jest sakramentem sprawiedliwych zarówno, jak i grzeszników. Mieliśmy świętych, którzy sobie codzienną spowiedź za obowiązek uważali. Sobór trydencki przypisuje całą świętość Kościoła działaniu sakramentu Pokuty i dlatego bracia nasi, którzy się od wiary św. odszczepili, mianowicie protestanci niemieccy i angielscy, poczynają żałować sakramentu Pokuty, jakiego się sami wyrzekli, objawiając wyraźną chęć przywrócenia tej praktyki religijnej.

Sakrament Pokuty jest pożyteczny każdemu, ale w szczególniejszy sposób dzieciom i młodzieży. Zabezpiecza on dzieci od upadków przedwczesnych, albo je szybko z nich wyrywa; nadto oświeca, kształci sumienia i pomaga stawiać pierwsze kroki na drodze życia chrześcijańskiego. Znowu dla młodzieży jest on jedyną deską zbawienia. Tylko on zdoła umocnić ich cnoty pośród niebezpiecznych przejść młodości, pośród nawały pokus światowych. On ich dźwiga z tak częstych w tej porze życiowej upadków, toruje drogę ku dobremu, uczy walczyć z nieprzyjaciółmi zewnętrznymi, z namiętnościami i szatanem, dając im w osobie spowiednika, wiernego doradcę, przewodnika pewnego i doświadczonego. Oto dlaczego z woli ks. Bosko sakrament Pokuty zajmuje między środkami wychowawczymi bardzo wysokie miejsce.

Trzy warunki są niezbędne, by spowiedź stała się obfitem źródłem zbawiennem w domach wychowawczych. Najpierw należy przyjmować ten sakrament z własnego popędu, powtóre przystęp do spowiedzi powinien być uczniom każdego czasu bardzy ułatwiony, potrzecie potrzeba się do niej należycie przysposobić.

Łatwość spowiadania się w domach ks. Bosko jest tak wielka, że trudno sobie wyobrazić lepsze w tym względzie urządzenia. Nietylko w wigilię świąt i każdej soboty, lecz codziennie rano i wieczorem, konfesyonał jest przystępny i otwarty dla wszystkich. Zrana podczas wspólnej Mszy św. zawsze jeden lub kilku spowiedników oddaje się zupełnie penitentom, i proszę pomyśleć, jak z tego korzysta dziatwa, skoro sam przykład porywa wahających się i ułatwia przystęp do św. Pokuty. Wieczorem dzieje się to samo w kaplicy podczas pacierzy wieczornych i po nich. Dlatego obcy kapłan przybywający do Oratoryum turyńskiego podczas wspólnej Mszy św., stawia sobie zwykle takie pytanie: „Cóż to dziś za święto w zakładzie?” Widzi bowiem konfesyonał oblężony, jak to bywa po kościołach parafialnych w wilię uroczystych świąt.

Co do usposobienia, jakiego wymaga ks. Bosko od przystępujących do sakramentu Pokuty, to poświęcił on temu przedmiotowi dziesięć stronic w swojej książce modlitewnej: *Młodzieniec zaopatrzony.* Najpierw wykazuje ważność dobrego spowiadania się. „Kochane dzieci, mówi, jeden grzech śmiertelny wystarcza, by do piekła wtrącić tego, co go popełnił, jeśli przed jego śmiercią nie zostanie mu odpuszczony. Dlatego przedewszystkiem powinniśmy się starać uzyskać przebaczenie, jeśliśmy mieli nieszczęście zgrzeszyć śmiertelnie. Chcąc zaradzić tej potrzebie, ustanowił P. Jezus sakrament Pokuty, za pomocą którego możemy otrzymać przebaczenie grzechów po chrzcie popełnionych.

„Pan Jezus rzekł do Apostołów: „*Którym odpuścicie grzechy, będą odpuszczone, a których zatrzymacie, będą zatrzymane*“ *). Temi słowy udzielił Zbawiciel kapłanom swoim władzę rozgrzeszania lub nie rozgrzeszania. Stąd dla chrześcijan wypływa obowiązek wyznawania swych grzechów, by kapłan mógł osądzić,

*) Św. Jan, xx.

czy powinien dać lub nie dać rozgrzeszenia.

„Ale na nieszczęście wielu chrześcijan nie umie korzystać z tego sakramentu; owszem wielka zachodzi obawa, by się ten środek zbawienny nie stał przyczyną wiecznej zaguby dla tych, co źle do niego przystępują. Chcąc was, kochane dzieci, uchronić od tak wielkiego nieszczęścia, umieściłem tu krótką i zastosowaną do rzeczy naukę. Czytajcie ją, proszę, uważnie, ilekroć zamierzacie przystąpić do spowiedzi.“

Potem wylicza nasz Ojciec warunki dobrej spowiedzi i omawia rachunek sumienia, żal, mocne postanowienie, spowiedź i zadośćuczynienie. „Najpotrzebniejszymi warunkami, mówi on, są żal i mocne postanowienie. Skrucha powinna być wewnętrzna, nadprzyrodzona, nadewszystko i powszechna“. Następnie wykłada on te różne przymioty skruchy, podając pobudki skruchy doskonałej, która w pewnych razach zastępuje sakrament Pokuty i ma moc wyrwać duszę z grzechu śmiertelnego. Następnie mówi o mocnem przedsięwzięciu: „Żal za grzechy należy łączyć z mocnem postanowieniem poprawy życiowej, czyli należy obiecać i mieć szczerą wolę ponieść raczej śmierć, aniżeli nowego dopuścić się grzechu; inaczej niema przebaczenia. Brak takiego przedsięwzięcia sam już dowodzi, że nie mamy prawdziwego żalu; szczery bowiem żal za popełnione uchybienie, domyślać się każe mocnego postanowienia zaniechania grzechu na przyszłość, chociażby nie wiem jak wielka nagabywała nas pokusa.“

Ks. Bosko przechodzi wreszcie z zasady do praktyki, dając jasno do zrozumienia, że jeśli pragnie, by się spowiadano często, to wymaga jednak, by to czyniono poważnie.

Rozważmy następujący ustęp z jego wspomnianej książki, który wiernie z włoskiego jezyka przekładamy: „Gdy mamy przystąpić do sakramentu Pokuty, powinniśmy dzień przedtem przygotować się jakiem pobożnem ćwiczeniem, n. p. nawiedzieniem Najśw. Sakramentu, albo przynajmniej jakiem umartwieniem, czytaniem duchownem, modlitwą i t. p. W dzień spowiedzi mamy się stawić przed obecnością Boga i błagać Go gorąco o pomoc, byśmy mogli zbadać starannie grzechy nasze, po ostatniej spowiedzi popełnione, i w tym celu wezwijmy pomocy Boskiej następującą modlitwą:

„Panie mój, Jezu Chryste, Odkupicielu duszy mojej, rzucam się do nóg Twoich, prosząc Cię, abyś miał litość i miłosierdzie nademną. Oświeć mnie Twoją łaską, abym poznał teraz grzechy moje, tak jak mi je oznajmisz, kiedy się stawię na sąd przed Twoim trybunałem. Spraw, o Panie, abym prawdziwą skruchą przejęty brzydził się nimi i w ten sposób przez zasługi Krwi Twojej Przenajśw. za mnie na krzyżu wylanej, dostąpił przebaczenia. O Panno Najśw. Święci i Święte niebiescy, módlcie się za mną, abym się mógł należycie wyspowiadać“.

Mówiąc następnie o rachunku sumienia, ks. Bosko powiada: „Nie wystarczy wymienić tylko grzech, lecz trzeba powiedzieć, ile razy się go popełniło. Nie wystarczy n. p. powiedzieć, że prowadziłem nieprzyzwoite rozmowy, lecz muszę powiedzieć, ile razy je prowadziłem. Nie wystarczy wyznać, że miałem złe myśli, lecz także, czy zezwoliłem na nie i ile razy. Co się zaś tyczy zgorszenia, mamy się porachować szczegółowo i rozważyć, czy nasze rozmowy, słowa, uczynki były drugim okazyą do grzechu; albowiem ile osób słuchało tych rozmów, tyle jest grzechów zgorszenia, z których mamy się oskarżyć.“

Widzimy stąd, że ks. Bosko był tego zapatrywania: „Chcę częstej spowiedzi, ale chcę, żeby była poważnie i należycie odprawowana“. Dlatego często do tego przedmiotu powracał i starał się wszelkimi sposobami dzieci swoje zabezpieczyć od spowiedzi nieważnych lub świętokradzkich. „Pewnego razu, mówił ks. Bosko, zdawało mi się, że widzę we śnie chłopców bawiących się na dziedzińcu. Niektórzy ćwiczyli się w gimnastyce, usiłując wdrapać się rękami i nogami na linę. Lina była od deszczu wilgotna i dlatego chłopacy spadali ciągle na rozwilżoną ziemię, a obryzgawszy się błotem, pozostawali zawsze na tem samem miejscu, t. j. w kałuży. Bóg dał mi do zrozumienia, że oni przedstawiają dzieci przystępujące do sakramentu Pokuty bez mocnego postanowienia. Niedostateczne są ich usiłowania, czynią postanowienia, ale ich nie wypełniają i zawsze pozostają w tem samem błocie grzechowem.

„Widziałem także w kącie dziedzińca inne dzieci, nibyto rozmawiające między sobą, ale litość brała patrzeć na nich. Szyja ich była okolona dużym wężem, którego ogon dosięgał serca, a głowa, z rozwartą paszczą i drgającem żądłem, podchodziła im aż do

podbródka i nie dozwalała im słowa wymówić. Był to obraz dzieci, które tają grzechy na spowiedzi. Idą do kapłana dla wyznania grzechów, a tymczasem zostają pod panowaniem węża piekielnego, który im nakrywa i zamyka usta."

Oto w jaki sposób Ojciec nasz w swej gorliwości apostolskiej, używał wszelkiego światła przyrodzonego i nadprzyrodzonego, by ukochane dzieci swoje usposobić do odprawiania zawsze doskonałej spowiedzi i by im otwierać zawarte w sakramencie Pokuty skarby Boskiego miłosierdzia i przebaczenia.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

REPREZENTANT NAJPRZEW. X. MICHAŁA RUA

w Ameryce.

(Pokłosie z listów X. Calogero Gusmano).

(*Ciąg dalszy*).

Dom w S. Paolo podejmował ks. Alberę bardzo uprzyjmie. Już w dzień jego przyjazdu urządzono wieczorem na cześć tak rzadkiego gościa wieczorek literacko—muzyczny. Sala była zupełnie zapełniona. Najpierw powitał ks. Alberę dyrektor zakładu mową tchnącą gorącem uczuciem i synowskiem przywiązaniem. Potem przedstawił mu cały personal domu, poczynając od księży i kleryków a kończąc na chłopakach, którzy stali ustawieni w grupy odpowiednio do różnych zawodów: studenci, odlewacze czcionek, zecerzy, drukarze, introligatorzy, księgarze, krawcy, szewcy, stolarze, rzeźbiarze, snycerze i t. d., i zapewnił, że duch pracy owionął ich umysły i serca, a po odwiedzinach tak zacnej a kochanej osoby, duch ten podniesie się do większej jeszcze potęgi. Wtem wszedł na trybunę, z której dyrektor przemawiał, chłopaczek mogący mieć z 11 lat i dziecinnym głosikiem począł witać ks. Alberę w imieniu wszystkich swoich towarzyszy a zakończył, wzywając śpiewaków i muzykantów, aby śpiewem i grą przyczynili się do uroczystego powitania. Jakoż odezwała się kapela, uczyniła zadość swemu zadaniu i tego dowiodła, że słusznie cieszy się opinią najlepszej w całem S. Paolo muzyki. Najpocieszniejszą jednak częścią zabawy było występowanie małych chłopaczków, którzy odczytywali różne utwory w coraz to innem narzeczu. Ale i Pomocnicy Salezyańscy obecni na wieczorku chcieli od siebie przemówić do Czcigodnego Przedstawiciela Jenerała księży Salezyanów. W ich imieniu odezwał się Dr. Macharo, profesor prawa na uniwersytecie, znany w całej Brazylii pod przydomkiem: *Mistrza słowa*. Po nim wystąpił witany hucznymi oklaskami radca p. Duarte de Azevedo, który za cesarstwa sprawował kilka razy urząd ministra sprawiedliwości. Osobistość to nader sympatyczna. Pan Duarte liczy już oboło 70 lat, jest bielutki jak gołąbek i ma w sobie coś takiego, co drugich do niego pociąga i każe go czcić i miłować. Zacny staruszek nie uniósł się wcale okazywaną mu czcią, lecz przytaczając słowa św. Teresy: „Panie, może Ci kto lepiej służył ode mnie, ale z pewnością nikt Cię goręcej ode mnie nie miłował," zastosował je do siebie, mówiąc: „Bez wątpienia niejeden skuteczniej ode mnie wspiera dzieła salezyańskie, ale z pewnością nikt nie jest tak przywiązany do kochanych O.O. Salezyanów jak ja, i nikt ich tak serdecznie nie kocha. Zaiste mogę powtórzyć słowa św. starca Symeona: „Teraz puść Panie sługę twego w pokoju, albowiem, oczy moje oglądały zbawienie świata"; tak teraz, gdy mam to szczęście witać w mej ojczyźnie jednego z pierwszych wychowanków ks. Bosko, jednego z jego najgodniejszych synów, mogę spokojnie pożegnać się z nędznym padołem." Następnie w słowach wzruszających do głębi słuchaczów nadmienił sędziwy starzec, jak przez dłuższy czas służył złudnemu światu, aż Ojciec niebieski przeznaczył go na swego sługę i posłał Salezyanów do

S. Paolo, w których to gronie i otoczeniu poznał zdradliwy świat, pokochał prawdziwą miłością Boskie Serce i stał się człowiekiem oddanym Bogu. O.O. Salezyanie jego zdaniem dokonali w nim tej zmiany i dlatego kocha ich serdecznie nietylko jako przyjaciół, ale jako prawdziwych braci i rodziców, bo przez nich urodził się dla Boga i spraw Jego.

W dalszym ciągu mowy wspomniał p. Duarte o obojętności religijnej, jaka aż do niedawnego czasu w całem państwie się objawiała. Uczęszczano wprawdzie do kościołów, odbywano procesye i t. p., ale w tem wszystkiem nie było sił żywotnych; były to tylko praktyki zewnętrzne, chłodne zwyczaje bez prawdziwego ducha i życia chrześcijańskiego. Teraz rzecz zupełnie inaczej się przedstawia. Na każdym kroku życie chrześcijańskie bije pełnem tętnem, ludność uczęszcza do Sakramentów świętych, a ten taki błogi dla duszy każdego dobrego katolika zwrot ku dobremu, datuje się od chwili założenia domu salezyańskiego. „Zakład Najsł. Serca Jezusowego, są słowa p. Duartego, jest jakby potężnem źródłem, od którego płyną na wszystkie strony strumyki mocnej wiary, gorącej miłości Boga i bliźniego.

Mówił jeszcze o niezliczonych korzyściach duchownych, jakie odbiera Ameryka z 200 zakładów salezyańskich, a zwracając się do słuchaczów, w te odezwał się słowa: „Przezacni Panowie! Czem byłaby większa część tych młodzieniaszków wychowywanych przez synów ks. Bosko, gdyby byli zostawieni samym sobie?..... Z tego zakładu wyszły już dziesiątki doskonałych rzemieślników i tuszę, że ci wszyscy, którzy się tu znajdują, opuszczą kiedyś ten zakład jako dzielni rękodzielnicy i światli nauczyciele, aby się stać podporą rodziny, chlubą narodu i społeczeństwa, a jeśliby, co nie daj Boże, nawiedziły nas ciężkie czasy, będziemy mieli w nich przewodników, którzy przyświecając nam dobrym przykładem, będą nas uczyli, jak się przebijać przez trudy tego życia i dochować wiary przykazaniom Bożym. Dla tego właśnie, że Salezyanie kierują swych wychowanków na dzielnych ludzi, witam ze sercem przepełnionem radością przedstawiciela Najprzew. ks. Ruy. Wobec tych tak ogromnych dobrodziejstw, jakie nam płyną z dzieł księdza Bosko a na które codziennie z podziwem spoglądamy, któż może pozostać obojętny i niemy i nie przychodzić im z pomocą według możności?“

W takie słowa odezwał się na publicznem zebraniu jeden z najznakomitszych mężów dzisiejszej Brazylii.



S. Józef.
Statua wykonana w naszej szkole ceramicznej w Medyolanie (Włochy).

Salezyański kościół Najsł. Serca Jezusowego w S. Paolo, zbudowany w stylu renesansowym, można śmiało zaliczyć do arcydzieł sztuki. Plany zredagował nasz braciszek Dominik Delpiano a cała budowa zawdzięcza

swe wykończenie dyrektorowi zakładu, ks. Giordano, którego gorliwość od 7 lat wywiera błogie skutki tak dla północnej jako i południowej Brazylii. Do wzniesienia tego wspaniałego domu Bożego przyczynili się tak duchowieństwo jak i gorliwi katolicy z obszer-



„Kalwarya"
Praca ceramiczna wykonana w Medyolanie (Włochy).

nej dyecezyi. Kto tylko wejdzie do S. Paolo, tego zaraz uderza ogromny zakład i kościół Boskiego Serca, oraz strzelającą na 40 metrów wysoko ku niebu wieża, wskazująca człowiekowi, że tam w górę podnosić mamy serca, myśli, uczucia. Jak salezyański Kościół Boskiego Serca w Rzymie stanął z woli Piusa IX, i Leona XIII, tak budowa tutejszego kościoła została księżom Salezyanom powierzona przez biskupa Lina, który w marcu 1893 r. pisał w tej sprawie do swych proboszczów.

... „Wytężmy nasze siły a wkrótce Anioł naszej dyecezyi stanie przed tronem Boga z wiadomością, że wiara naszej ludności stworzyła nowe dziwo, nowy monument, nową świątynię. Wytężmy nasze siły a wkrótce przy opiece Wspomożycielki Wiernych zabłyśnie na wieżycy nowego kościoła sześciometrowa statua Boskiego Serca, które od tej chwili zajmie się w szczególniejszy sposób duchownymi i doczesnymi losami tego miasta i całej dyecezyi. Ufam w Bogu, że runą przeszkody, rozwieją się trudności, a zamierzony cel osiągnięty zostanie. Wśród niewidzianych przeciwności uskuteczniono podobne przedsięwzięcie, i to nie raz, we Francyi i dlatego w Marsylii jaśnieje jak niebieskie widzenie Matka Boska *de la Garde*, a w Lyonie sławną jest *Notre Dame de Fouvières*. Także inne kraje przyprowadziły do skutku taki zamiar, a powstałe kościoły są miejscami widoczniejszych działań Opatrzności Boskiej, celami pielgrzymek, ogniskami religii, środowiskami ruchu katolickiego, krzewicielami chrześcijańskiej pobożności. Tylko śmiało wśród trudów, odważnie w walce, wytrwale w przeciwnościach.... Kończę oświadczeniem, że każdą przysługę, wyświadczoną zbierającemu ofiary Salezyaninowi, przyjmuję z tym duchem, jak gdyby mnie samemu oddana została, i z pełnego serca dziękuję wszystkim duchownym i parafianom, których błogosławię z uczuciem ojcowskiego serca."

Trudności przełamane zostały i ukończono kościół, lecz wtedy po ks. biskupie Linie żyło jeszcze w Brazylii tylko wdzięczne wspomnienie pośmiertne. Ale ks. Alvarenga, który po nim zasiadł na stolicy biskupiej, poświęcił tę statuę, o której marzył jego poprzednik: wszelako nie była to statua sześciu metrów, ale znacznie większa, bo z piedestałem wynosi metrów czternaście. Kiedy statuę tę odsłoniono, a biskup wymawiał formułkę rytualną, a Papież błogosławił zgromadzony lud, a chór 300 śpiewaków salezyańskich śpiewał hymn na cześć Zbawiciela, przy towarzyszeniu kilku kapel, jakieś dreszcze przeszły obecnych a w grobie zadrżały radośnie zwłoki ks. biskupa Lina.

**

Niedługo potem odezwało się pięć dzwonów które ofiarność rodziny Prates umieściła, w wieży, pod statuą. Dzwony biły, a głos ich rozchodził się szeroko po okolicy, a był tak jasny, miły, ciągły, że przypominał wysokie, nauczycielskie, rozkazujące słowo Kościoła, które nigdy się nie zmienia, które nie zna haniebnego milczenia i nie słucha nizkiej, upokarzającej podniety. Dzwony biły a ich głos przywodził na pamięć brzmienie słowa kościelnego, które jest zawsze niezmienne, bo zawsze słodzone wiarą, owiane miłością. Dzwony biły a wszyscy myśleli, że to Kościół wymawia swe słowo, które każdego czasu rozchodzi się po świecie, panuje nad ludami i włada ziemią.

Imiona pani Veridiany i pana Pratesa będą żyły wiecznie w pamięci księży Salezyanów, oddanych swej pracy w kościele i zakładzie Najsłodszego Serca Jezusowego. Olbrzymia statua, wspaniały wielki ołtarz, który kosztował 40.000 franków i inne bardzo wielkie wsparcia, to powody wdzięczności, jaką Salezyanie w S. Paolo żywią dla p. Veridiany; zaś dzwony i wydoskonalenie maszyneryi w pracowniach, to skutki ofiarności p. Pratesa, któremu przeto zawdzięczać należy postęp wszystkich w tym zakładzie uprawianych rzemiosł. Drukarnia jest tak olbrzymia i została w swych różnych kierunkach i gałęziach do takiej doskonałości doprowadzona, że w całem zgromadzeniu nie widziałem innej drukarni, coby się równie zbliżała do typu wzorowej, pierwszorzędnej drukarni turyńskiej. Obfitują tu druki poprostu mistrzowskie. Najlepsze publikacye, najpoważniejsze recenzye, zbytkowe wydania, okolicznościowe ogłoszenia wychodzą prawie wyłącznie z tej drukarni, którą zwiedzają najznakomitsze osoby miasta i całego stanu. W stolarni znalazłem wyroby bardzo artystyczne, wykonane dla rządu, który zamówił mebli za 50.000 koron dla ozdobienia najbogatszych sal miasta S. Paolo. We wszystkich pracowniach spostrzegłem rozwieszone na ścianach wielkie tablice, na których nasz doświadczony ks. Molfino skreślił całą stopniową i umysłowo uprawnioną metodę doskonalenia chłopców w pewnem rzemiośle.

Metoda ks. Molfina okazała się tak praktyczną i dokładną, że w pracowniach, według niej kierowanych, wykonano pomiędzy innemi statuę Najsł. Serca Jezusowego, kilkanaście cudnych ołtarzy dla naszej świątyni i cudzych kościołów i inne dzieła, nad któremi kręciło głowę zdumione całe S. Paolo. Z tych pracowni do dziś dnia wychodzą dzieła takiej wartości, że ich rozgłos i poważanie dotarły do każdego zakątka stanu Rio Janeiro, a złote medale, którymi niejednokrotnie na wystawach odznaczone zostały, są dowodem, że ten rozgłos i to poważanie mają swoje uzasadnienie w zasługach faktycznych, wielkich, niezwykłych.

Gdy plan domu w zupełności wykonany zostanie, zakład ten będzie mógł dać schronienie tysiącowi internów, a drugi tysiąc będzie mógł z miasta uczęszczać do eksternatu. W tej chwili, kiedy pióro moje pod dyktatem myśli kreśli niniejszy list mularze pracują gorączkowo, aby przed nowym rokiem szkolnym wznieść obszerny eksternat. Ile dobrego wypłynęło tu w tym roku ze zastosowania salezyańskiego systemu wychowawczego! Jak dzielnie pracowała tu myśl salezyańska! Ile świeżych sił brazylijskich przybyło wytężającemu się Zgromadzeniu!

Zawitała jutrzenka Niepokalanego Poczęcia. Dzwony biły a głos ich rozchodził się szeroko po okolicy, podczas gdy w kościele odbywała się Najśw. Ofiara, podczas gdy chór śpiewał: *Sanctus, Sanctus, Sanctus* a orkiestra towarzyszyła śpiewowi, tak miło, tak tkliwie, tak smutno... Nazajutrz Pan Bóg omaił dzionek niezwykłą pogodą: ze słońca lały się strumienie ciepłych promieni na brazylijską florę, ale w zakładzie Najsł. Serca był zakłócony porządek dzienny, była zamieszana radość, bo Przedstawiciel ks. Ruy żegnał współbraci i żegnał młodzież, może na zawsze.

Świst lokomotywy wyrył się głęboko w sercu wszystkich: dolatywały nas jeszcze dźwięki kapeli... Zanurzyłem się w myślach, a kiedym się przebudził nie widziałem miasteczka S. Paolo, ale ks. Albera siedział przedemną i odmawiał brewiarz: wejrzałem przez okienko i nie spostrzegłem nic innego, tylko pagórki i dziewicze lasy.

Ks. Calogero Gusmano.



MISYE SALEZYAŃSKIE

Historya Misyi Salezyańskiej w Ziemi Ognistej.

(*Przez X. Beauvoir, Misyonarza Salezyańskiego.*)

(Ciąg dalszy).

Józef Benedykt Sunday.

Czwartym awanturnikiem, który zawadziwszy o naszą misyę, na dobre się do niej przylepił, był dziewiętnastoletni młodzieniec, imieniem Józef Benedykt, zwany *Sunday*, bo pochodzący z przylądku tejże nazwy. Był to mój dawny znajomy, bom się już poprzedniego roku na zwiadach dobrze z nim zapoznał. Kiedy mi się więc przedstawił w misyjnej chacie, przyjąłem go bardzo chętnie, lubo podejrzywałem, czy nie przyszedł czasem uprowadzić swego kuzynka Józefa Santiago. Ale on bynajmniej takiego zamiaru nie miał, bo się o drugich wogóle ani nie troszczył.

Przyzwyczaiwszy się w krótkim nader czasie do naszego trybu życia, i doznając ze strony naszej wszelkich względów, pozostał na misyi. Między innemi miał jednakże i tę słabość, że przepędziwszy w naszem towarzystwie z jakie dwadzieścia dni, w których nie bardzo się do roboty przykładał, czuł niby to potrzebę wypaść na świeże powietrze i pohasać sobie cokolwiek. Błąkał się więc dniem i nocą po zielonych łąkach, tłukł się po lasach, które nazywał swą własnością, i dopiero po trzech tygodniach wracał, to wieczorem, to nocą, do misyi. Takie peryodyczne wycieczki były misyi o tyle pożyteczne, że przewietrzywszy się dostatecznie, nie wracał nigdy sam, ale przyprowadzał zawsze jednego albo więcej kamratów, z których kilku ujętych łaskawością, misyonarza, przywiązało się do naszego domu i już nas nie opuścili. Oprócz tego służył on nam za środek komunikacyjny, zanosząc odległym Indyanom nasze zlecenia i donosząc o wszystkiem, co tylko wśród nich słyszał. W końcu stał się naszym regularnym kuryerem, a miał potrzebne do tego zalety, bo był biegusem nielada.

Józef Chrzciciel Roca i Józef Joachim Tierra.

Nieco później przybyło do misyi dwóch młodzieńców siedmnastoletnich. Oto jak się rzecz miała. Pewnego wieczora dostrzegam dwóch Indyan, zbliżających się do misyi. Wychodzę na ich spotkanie i dowiaduję się, że wracają z polowania, obładowani setkami *tucus-tucus*.* Wchodzą ze mną do misyi i zatrzymują się z nami cały dzień z takiem zaufaniem i spokojem, jak gdyby ich kto poprzednio zapewnił, że im się u nas żadna krzywda nie stanie, co zresztą musiało też wypływać z przekonań osobistych, opartych na stosunkach, jakie miewali z tym domem. Bawiłem ich wesoło, stawiając im mnóstwo pytań, na które odpowiadali z największą grzecznością, na jaką się zdobyć mogli. Nalegałem, by się u nas zatrzymali, ale zaklinali się, że

* *Tucus-tucus*, jest to rodzaj olbrzymich szczurów, którymi się Fugińczycy żywili.

tego zaraz uczynić nie mogą. Dopiero za kilka dni przyszli i już od samego początku tak do naszej misyi przylgnęli, że się później niemało przyczynili do jej rozwoju. Szczególnie Józef Chrzciciel Roca, będąc młodzieńcem bardzo usłużnym, wkrótce dobrym został robotnikiem. Trzymał woły, zaprzęgał je do wozu, jeździł nimi i przewoził różne rzeczy, a to z taką wprawą i tak sprytnie, jak rzadko który rataj po naszych gospodarstwach.

Po tych ostatnich przybyło do naszej misyi dwóch wyrostków dwudziestoletnich, z których jeden zwał się Józef Mateusz, drugi Józef Filip.

Korzystając z przypłynięcia statku *Torino*, który nam dowiózł żywności i materyału budowlanego, odjechałem tym statkiem do Puntarenas. Zabrałem z sobą wszystkich ośmiu Indyan, by w nagrodę za usługi oddane temu domowi zapoznać ich ze światem ucywilizowanym i podać im sposobność nauczenia się niektórych rzeczy, tyczących się głównie języka i obyczajów. Wszedłszy do Puntarenas, oniemieli biedni Indyanie na widok tak prostych ulic, wielkich, wspaniałych budynków i masy ludzi, bezustannie tam i sam się uwijających. Co chwila stawali uderzeni jakąś niespodziewaną nowością, na którą palcem wskazywali, wydając różne okrzyki zadziwienia. Krom tego zaprowadziłem ich na wyspę Dawson, by mieli pojęcie o rozwiniętej już misyi. Lecz jakby na przekór, pomimo że wówczas znaczne już były postępy tej misyi, nie było tam innych Indyan, prócz Alakulufesów. Nie trzymałem ich tedy tam długo, bo Alakulufesowie są oddawna zapamiętałymi i niepojednanymi wrogami Onasów i patrzeli na nich pogardliwem okiem.

By zadośćuczynić gorącym pragnieniom mych Indyan, wysłałem ich z powrotem do rodziców, aby się mogli z nimi podzielić wrażeniami podróży. Wielka była radość, z jaką starsi Indyanie witali swych synów i wnuków po dwumiesięcznej nieobecności. Jak mgła rozwiały się wszelkie obawy odnoszące się do ich losu, obawy mające swoje uzasadnienie w smutnem ale prawdziwem doświadczeniu, które ich pouczało, że kto opuszcza ojczyznę nigdy już po niej stąpać nie będzie. Przed wyjazdem zapewniłem ich o powrocie do rodzinnych stron. Zresztą nie użyłem ani gróźb, ani obietnic, aby ich do wyjazdu nakłaniać; zgodzili się dobrowolnie na propozycyę, która miała być dla nich nagrodą. Stąd owa miłość, którą ku mnie już przedtem żywili, znacznie wzrosła w ich sercach, i zatem poszło, że chcąc mi objawić swe posłuszeństwo i poddaństwo, nazwali mnie prostodusznie *wodzem dobrego serca.*

Powodem mej podróży do Puntarenas, była potrzeba zaopatrzenia się w żywność i drzewo dla tem raźniejszego stawiania chat dla Indyan. Zarząd domu powierzyłem jednemu z księży, który, będąc architektem, kierował zarówno pracą stolarzy i robotników. Gdy już wyładowano ze statku wszystek materyał, Benedykt, Joachim, Chrzciciel i Filip przewozili go na miejsce, gdzie miała się wznieść osada. Przy ładowaniu i zrzucaniu materyału z wozów, okazywali ci synowie fugińskiej dzikości taką zręczność, jak gdyby się w swem życiu niczem innem nie byli zajmowali.

Józef Alojzy Michał Calafacte i Piotr Gama.

Ażeby nasi kochani czytelnicy poznali cały szereg tubylców, którzy podówczas znajdowali się już w naszej misyi w Rio Grande, trzeba do wzmiankowanych dołączyć jeszcze dwóch: Józefa Alojzego Calefactego i Piotra Gamę.

Pierwszy z nich był to młodzieniec, mający około 16 lat, którego podczas mego powrotu z Montevideo w 1890 r. spotkałem na pokładzie pewnego parowca angielskiego, płynącego na Ocyan Spokojny. Miał wtedy dwanaście lat i jako chłopak nadzwyczaj żywego temperamentu, bawił się bardzo chętnie ze swymi rówieśnikami.

Był on najmłodszy z owych jedenastu Fugińczyków, ktorych Maurice przed kilku laty przydybał w zatoce św. Filipa, na północnym brzegu Ziemi ognistej. Oszołomionych zasadzką młodzieńców zaprowadzono na pokład francuskiego okrętu. Przez dni kilkadziesiąt wystraszeni biedacy widzieli tylko niebo i morze, a gdy wylądowali na ziemię francuską, zawieziono ich do Paryża na wystawę, którą z okazyi setnej rocznicy rewolucyi francuskiej urządzono. Tam wystawiono ich w żelaznej klatce, przez której kraty podawano im cztery razy dziennie trochę mięsa i nieco tylko wody. Nieludzki ten Maurice dawał do poznania, że to dzicy ludożercy, i brał grube łapówki od tych, których cie-

kawość pchała do klatki tych nieszczęśliwych biedaków. Był to gwałt, okrucieństwo, niewolnictwo, którego się dopuszczano w biały dzień w Paryżu wtenczas właśnie, kiedy obchodzono setną rocznicę proklamacyi ironicznego wyzwolenia człowieka.

Wiedział o tem ambasador chileński we Francyi i protestował energicznie przeciw tak haniebnej srogości, prosząc rząd francuski o przykładne ukaranie zbrodniarza. Maurice przewidując burzę, jaką miały ściągnąć na niego tak stanowcze protesty, puścił na wolność swych nieszczęśliwych więźniów i porzuciwszy swe okrutne rzemiosło, zbiegł z Paryża i gdzieś się utaił.

Uwolnionymi Fuegińczykami zajął się ambasador chileński, który ich też następnie parowcem angielskim *Aconcagna* do ich ziemi ojczystej wysłał. W Puntarenas był im bardzo uprzejmy p. gubernator Valdiwieso i wysłał ich zaraz do naszego domu. Z jedenastu pozostało ich tylko czterech; dwóch umarło zaraz przy wejściu do Cieśniny, trzech podczas przeprawy a najmniejszy, nasz Calafacte, zatrzymał się o parę miesięcy dłużej w Anglii. Gdy wreszcie wracał do ojczystych stron, miał to szczęście spotkać się przypadkiem ze mną i dlatego udał się bezzwłocznie do naszej misyi w Puntarenas, do swych towarzyszy. Jednego dnia pewna staruszka zoczywszy tego chłopaka, krzyknęła z radości: „Calafacte! Calafacte!“ Chłopak na taki objaw miłości zdumiał i przypatrzywszy się lepiej kobiecie, uśmiechnął się serdecznie — poznał bowiem swą babunię. W naszym domu wyuczył się zasad naszej wiary katolickiej i niedługo po szczęśliwem spotkaniu się ze mną, został odrodzony w wodzie Chrztu św. Otrzymał imiona: Józef, Alojzy, Michał (to ostatnie na cześć naszego Przełożonego ks. Michała Ruy).

W zakładzie przywiązał się bardzo do przełożonych i do innych chłopaków, z którymi zawiązał zaraz ścisłą i szczerą przyjaźń, dając i otrzymując znaki wzajemnej miłości, jak gdyby już był jednym z starszych wychowanków. Tym sposobem wyuczył się bardzo prędko mowy hiszpańskiej, grzecznego obchodzenia się z ludźmi i wszystkich wogóle zasad dobrego wychowania.

Miłość zaś, jaką ten biedny Indyanin względem mnie okazywał, była zadziwiająca. Kiedy wyjeżdżałem za jaką sprawą misyjną, nie mogąc mi towarzyszyć, zanosił się od płaczu i przebywszy ze mną część drogi, towarzyszył mi oczyma, dopóki nie zniknąłem w dali. Obiecałem mu kilkakrotnie, że skoro otworzymy w Rio Grande jaką misyę, wezmę go za towarzysza podróży, a następnie uczynię go misyonarzem swych rodaków. Cieszyło go to okrutnie i dlatego zapewniał mnie o swej pomocy w każdej okoliczności. I w samej rzeczy po kilku latach został moim towarzyszem podróży i służył mi za tłómacza. W usługach tych, kochany Calafacte był godny podziwienia. Swem towarzystwem zmniejszył o 250 franków nasze wydatki miesięczne, bo zaoszczędzaliśmy zarobek przewodnika, którego Calafacte doskonale zastępował. Po nadto pochodząc z plemienia Onasów, u których miał brata i siostrę zamężną, i posiadając doskonale ich język, zyskał mi wielu swych rodaków.

Józef Piotr Gama był to drugi chłopiec dwunastoletni. Urzędnicy komisaryatu z S. Sebastian zabrali go na swoje terrytoryum wraz z podeszłą już matką. Przez pewien czas mieszkał w owym komisaryacie, następnie jednak przeniósł się do Paramo. Kiedyśmy byli zmuszeni przeprawiać się przez przylądek S. Sebastian, przez ten mały pampas, suchy na wiosnę a zimą zalany przez rzekę Rio Grande, p. Ansorge, administrator wspomnianego komisaryatu, oddał nam bardzo chętnie tego chłopca.

Obdarzony od przyrody bardzo spokojnem usposobieniem, okazywał się zawsze zadowolony i tak mu przypadł do myśli i serca nasz sposób życia, że nikt go nie słyszał wymawiającego choćby tylko jednego słówka niezadowolenia lub szemrania. Do naszych ustaw domowych przywykł tak dalece, że wykonywał w sposob podziwienia godny wszystkie zajęcia, które mu powierzone zostały, przedewszystkiem zaś okazywał niezwykłą skłonność do zawodu piekarskiego.

Żaden zaś z tych dwóch chłopaków nie miał zamiłowania do nauk. Mimo różnych zabiegów nie zdołaliśmy ich nauczyć ani czytać ani pisać, bo odczuwali taki wstręt do pisma, że uważali sobie za karę, kiedy im wciśnięto do rąk jaki kawałek papieru lub jaki zeszyt. Nauczyli się atoli odmawiać zwykłe pacierze i mówili tak dobrze językiem hiszpańskim, że z trudnością tylko można ich było odróżnić od innych starych już ucywilizowa-

nych. Łagodne obchodzenie się z nimi, nauka praktyczna i zmysłowo udzielana, ich powolność i miłość do kapłana, przemieniły ich zupełnie.

To przywiązanie ucznia do nauczyciela, tak potrzebne w wychowaniu mieszkańców krajów ucywilizowanych, jest nieobliczenie konieczniejsze wśród dzikich ludów Ziemi Ognistej. Bez niego praca nad ich uobyczajeniem staje się wprost niemożebną dla ich naturalnej dzikości, wstrętnych, brzydkich obyczajów i dla trudności, jakie wynikają z nauki języka tak odrębnego. A jeżeli do tego dodamy nasz system wychowawczy, polegający nie na sile ale na miłości i słodkiem przekonaniu, to łatwo zrozumieć trudy naszego naszego zawodu, jeżeli ze strony ucznia brak łagodnej powolności. Wśród pracy tak uciążliwej, pociesza i pokrzepia jedynie ta myśl, że jej wynik jest tem pewniejszy i pomyślniejszy, czem większe należy przezwyciężyć trudności, czem większej wymaga się od wychowawcy cierpliwości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka misyjna do stanu Goyaz (Brazylia).

(List ks. Antoniego Malana).

(*Ciąg dalszy*)

Kiedy w. r. 1894 wysłano mnie do kolonii św. Wawrzyńca, wtedy po raz pierwszy zwiedziłem był te miejsca wszerz i wzdłuż. Odbywając teraz po raz wtóry wędrówkę misyonarską, zauważyłem, że wśród ludności liczącej blizko 6000 dusz, i to ludzi z dobrych rodzin, nie pojawił się nigdy ani jeden kapłan. Miałem to szczęście, że jednej i tejsamej osobie udzieliłem naraz Sakramentu Chrztu, Bierzmowania, Małżeństwa, i ochrzciłem jej dzieci.

A biedny Pan Diogo jakże się ucieszył, gdy się dowiedział o celu naszej wycieczki misyonarskiej! Zwiedził on był kolonię „Teresa Cristina“ za naszego dyrektoratu i potem po naszem odejściu, i nie mógł znaleść dostatecznie czarnych barw na odmalowanie smutnego stanu zaniedbania i upadku, w jakim się znajduje taż kolonia od czasu, jak pozostaje w rękach rządu, a to dzięki niedbalstwu rządowych komisarzów, którzy kolonię tę łupią w straszliwy sposób, tak, że gdyby to było w ich mocy, to i samej ziemiby nie darowali. A nieszczęśliwi Indyanie, którzy przedtem za naszego dyrektoratu okazywali się tak skłonnymi do przyjęcia naszej św. wiary, i tak chętnie poddawali się pod słodkie jarzmo Chrystusa, niosące prawdziwą oświatę, teraz powrócili do pierwotnego stanu dzikości, i pochowali się po niedostępnych lasach, aby uniknąć cywilizacyi, niosącej za sobą niewolę. Przyczyny tego tak opłakanego stanu musimy niestety upatrywać w bezwzględności, srogości i poprostu w drapieżności zarządców rządowych.

Przebyliśmy wbród rzekę S. Lorenzo (św. Wawrzyńca) i już o zmierzchu dotarliśmy do *Capimi Branco*, jednej z ważniejszych stacyi sieci telegraficznej, posiadającej już domki murowane i pokryte dachówką. Miejscowość ta, leżąca w uroczej równinie, otoczona jest wieńcem wzgórz, sięgających prawie tejsamej wysokości. Rzeka S. Lorenzo płynie rwąco i to prawie aż do samej stacyi głównej, bo tylko na jakie 400 metrów od stacyi bieg jej staje się powolniejszym. Samą stacyę otacza z jakie 50 domów, zamieszkałych prawie wyłącznie przez urzędników, zajętych przy sieci telegraficznej; odległa zaś jest od Cuyabà o jakie 20, a od naszej kolonii przeszło o 40 kilometrów.

Ulegając prośbom poczciwych mieszkańców tej stacyi, jak również i koniecznością zmuszeni — zwierzęta bowiem nasze zwłaszcza juczne były podobne raczej do chodzących szkieletów, aniżeli do istot żyjących — postanowiliśmy zatrzymać się tam przez dwa dni. Odwiedzając mieszkańców tej stacyi po ich domach, wstąpiliśmy także do inspektora sieci telegraficznej, pana *Franciszka Ignazio*, kolegi Piotra Fernandeza. Biedny pan Ignazio! Dzień przed naszem przybyciem znajdował się przy karczowaniu kawałka lasu, a widząc żwawą pracę robotników nabrał sam chętki do rąbania; pochwycił więc za siekierę, i począł nielitościwie ścinać olbrzymie drzewo, mające wraz z innemi pójść na spalenie; ale nieszczęsne drzewo padając uderzyło olbrzymią gałęzią w lewą nogę inspektora i spowodowało wywichnięcie tejże w kolanie.

Przykuty do łoża boleści pan Ignazio wzywał łaski niebios, powtarzając ciągle: „Najświętsza Panno, ratuj mnie, ulżyj mi moich boleści.“ Udzieliliśmy mu pomocy, o ile nas

na to było stać, a 8go września odprawiliśmy publicznie mszę św. do N. Maryi Panny na intencyę chorego. Masa ludu słuchała jej z budującą pobożnością, aby sobie uprosić u królowej Niebios opiekę i pomoc. Chory po odprawieniu mszy św. czuł się znacznie lepiej i z dziecięcą pobożnością całował medalik Najśw. Panny, który był w darze otrzymał przy rozdzielaniu tychże wszystkim obecnym. Były to pierwsze medaliki i różańce, jakie ci biedacy widzieli. Serce rosło z radości na widok czci i pobożności, z jaką ci uczciwi i zacni mieszkańcy całowali i przyciskali do serca darowane im medaliki i rożańce. Co za przykład dla tych, którzy drwią sobie ze wszelkich oznak zewnętrznej czci Boskiej, uważając to za bałwochwalstwo!

Pobyt nasz w Capini Branco wyszedł na korzyść p. Franciszkowi Ignazio, od chwili bowiem jakeśmy wstąpili w jego dom, nie odstępowaliśmy od jego łoża; owinęlismy mu nogę płóciennym bandażem umaczanym w winie, i dzięki Bogu Najdobrotliwszemu p. Ignazio doznawał co raz mniej bolu, a nawet mógł już troszeczkę nogą poruszać.

Zawezwany telegraficznie lekarz z Cuyabà nie mógłby prędzej przybyć jak dopiero za jakie trzydni, a biedny chory nie mógł się pogodzić z tą myślą, że go opuszczą ci, którzy mu tak znacznie ulżyli w jego cierpieniach. A nam, Kochany Ojcze, serca się z bólu krajało na widok tego ludu opuszczonego, strasznie zaniedbanego pod względem religijnym, a to tem bardziej, że ludzie ci pragną słowa Bożego, mają serca gotowe na przyjęcie zasad Ewangelii i wprowadzenie ich w czyn, a niema, ktoby im je podawał, ktoby im wskazywał drogę przykazań i cnoty. Lecz cóż my na to poradzimy? musimy iść dalej, bo czekają nas daleko nieszczęśliwsi *Börösowie*.

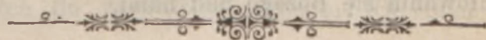
Zwierzęta nasze swem rżeniem zdawały się nas napominać, że jeszcze daleka droga przed nami. Pożegnaliśmy się więc z ludnością napozór weseli, ale wesołość ta malowała się tylko przymusowo na twarzach, bo serca się krwawiły na widok pola tak obszernego i tak skorego do przyjęcia słowa Bożego, a tak wielkiego braku robotników pańskich.

Ruszyliśmy w dalszą podróż, mając za przewodnika p. Emanuela Do Campo, osobistość w tych okolicach bardzo wpływową. Przeszliśmy t. z. *Pomadora* i 9go września zatrzymaliśmy się w domu p. Maggiore Moreno, który podejmując nas z nadzwyczajną uprzejmością zastawił na naszą cześć suty obiad, składający się z wszelkiego rodzaju mięsiwa, tak domowego chowu jak i z dziczyzny, z najrozmaitszych ryb i owoców. P. Maggiore Moreno piastował przedtem wysoki urząd wojskowy, ale znużony hałasliwem życiem żołnierskiem podziękował za służbę, kupił kawałek gruntu, i poświęca się teraz wychowaniu swych dzieci i licznego pokrewieństwa, a najmilszą jego rozrywką jest przypatrywanie się stadom koni i wołów, których hodowli poświęca się ze szczególniejszem zamiłowaniem.

Spokojną noc przespaliśmy smacznie jak rzadko kiedy, bo zacny p. Moreno, dał nam na nasze usługi, cotylko najlepszego miał w domu; rano częstował nas najwyborniejszem mlekiem, jakie miał, i szczególniejszemi jakiemiś ciasteczkami. Ale nie tu jeszcze koniec jego uprzejmości i ofiarności; na odchodnem bowiem wydał rozkaz swym podwładnym, aby nas zaopatrzyli we wszelkie zasoby żywności potrzebne tak dla nas, jak i dla naszych zwierząt; mnie podarował wyborowego muła, który nam potem w czasie dalszej podróży wyświadczył nadzwyczajne usługi, a nadto dał nam szczególniejszej rasy wołu i kilka krów.

I tu zarówno jak i w innych miejscach, gdzieśmy się tylko zatrzymali, ludność z początku nieśmiała, trzymała się zdala od nas, lecz jak tylko ci biedacy poznali, że mają do czynienia z synami ks. Bosko, otoczyli nas zaraz jak dziatki swą matkę, i gotowi byli wszystko dla nas uczynić. I niebawem udowodnili, że rzeczywiście oznaki ich miłości były szczere. Gdy bowiem rozeszła się wieść, że p. Moreno podarował nam muła i kilka krów, poczęto na wyścigi przyprowadzać nam krowy, woły konie i. t. p., co tylko kto mógł, i w króktim czasie byliśmy w posiadaniu przeszło 20tu krów, koni i innych tym podobnych zwierząt. Co za Opatrzność, Najdroższy Ojcze! Jakże się cieszy biedny misyonarz widząc, jak ci ludzie, żyjący zdala od zepsutego świata, kochają sługi Boże, i skłonni są do wszelkiego rodzaju ofiarności i usługi dla nich.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





Niedarmo ta ziemia zowie się padołem płaczu, ponieważ na niej pełno jest nędzy i smutku. Jednym głód dokucza i ubóstwo, innym sieroctwo i opuszczenie łzy wyciska, inni jęczą, wzdychają dręczeni bólem, znowu innych prześladują niewinnie. Każdy w smutku i niedoli ogląda się na zaufanego przyjaciela, lecz mało znajduje takich przyjaciół, którzyby z nim troskę podzielić i smutek ukoić chcieli, radą go wsparli i pomocą, osobliwie wtenczas, gdy go szczęście opuszcza. Ale Marya, Wspomożycielka Wiernych, jest zawsze pociechą chorego, upadłego pokrzepia, walczącego wspiera, grzesznika skruchą przejmuje, słodkością i pokojem napełnia umierającego. Marya jest tą wspaniałą gwiazdą, wysoko wzniesioną nad światem, która jaśnieje dobrocią, świeci litością, której promień oświeca cały okrąg ziemi, ogrzewa dusze, nieci cnoty, wypala występki, poskramia burze i nawałności i napełnia radością i nadzieją żeglujących pośród ciemnej nocy życia doczesnego.

Głos wdzięczności.

W kwietniu roku bieżącego zachorował mój 3-letni niespełna synek na ciężką chorobę: błonicę, czyli dyfteryę. Przebieg choroby był tak gwałtowny, że lekarz, wyczerpawszy wszystkie środki medycyny dzisiejszej, postradał wszelką nadzieję uratowania dziecka. Śmierć stała u progu. Wówczas to, ja i moja żona przywołaliśmy pomoc nadziemską. Zdawszy życie naszego dziecka zupełnie na wolę Boską, t. j. pogodzeni wewnętrznie z tem, gdyby się Panu Bogu podobało nam je zabrać, ofiarowaliśmy je równocześnie Boskiemu Sercu naszego Zbawiciela i wstawiennictwu Matki Bożej, Wspomożycielki Wiernych. Udaliśmy się zarazem do Waszej Wielebności, czcigodny X. Dyrektorze, listownie, prosząc o modły Zgromadzenia Salezyanów na intencyę ocalenia chłopczyny, jeżeli się to będzie podobało Panu Bogu, dołączywszy skromną ofiarę na szlachetne cele tego Szanownego Zgromadzenia. Uczyniliśmy zarazem ślub, którego część jedna polegała na tem, iż w razie ocalenia dziecięcia ogłosimy publicznie ten akt zmiłowania się Bożego nad nami.

W kilkanaście godzin potem stał się cud. Nie waham się użyć tego wyrazu: tak, nie inaczej nazwał to sam lekarz, który lada chwila oczekiwał katastrofy. Bez widocznej przyczyny zewnętrznej, w sobotę 19 kwietnia b. r. o godzinie 2-giej popoł., gorączka, straszliwa dotąd, nagle opadła, dziecko od trzech dni po raz pierwszy otwarło oczy, bezprzytomne dotąd usiadło o własnych siłach w łóżeczku, od 5-iu dni nic nie jedząco i oniemiałe zażądało pokarmu, podaną mu filażankę mleka z pospiechem wypiło i zapadło potem w sen bezgorączkowy...

Staliśmy przy jego łóżeczku zdumieni i odurzeni, nie zdając sobie zrazu sprawy, czy dzieje się to w śnie, czy też na jawie. Po kilku godzinach wystąpiły inne jeszcze objawy (jak pocenie się obfite i t. d.), które nie pozwalały już dłużej wątpić, że w stanie walczącego ze śmiercią organizmu dziecka, nastąpił zwrot nagły i stanowczy, że przetrwa ono tę straszliwą chorobę. Każdy dzień następny przynosił nowe objawy pocieszające, a niewiadomo mi kto, czy lekarz, czy też my obydwoje byliśmy bardziej zdumieni wobec tego faktu, który rozegrał się na oczach

naszych: uratowania konającego już dziecka. Rekonwalescencya jego szła dalej trybem normalnym; stopniowo wracały siły i mowa utracona, a dziś, gdy to piszę, niema na dziecku prawie już żadnych śladów przebytej, tej tak ciężkiej choroby. Dodam, że dziecko wyzdrowiało bez odbywania płukań lub też pędzlowania gardła (tam bowiem było główne siedlisko choroby), przez cały bowiem krytyczny czas miało usta i ząbki zaciśnięte; po otworzeniu ich nawet przemocą, byłoby płyn do płukania raczej połknęło.

Przekonani o cudownem uratowaniu naszego dziecka z łaski Zbawiciela, miłośnika dzieci, a za wstawiennictwem Matki Boskiej, Wspomożycielki Wiernych, do której w przygnębieniu naszem ucieklismy się, a głęboko wzruszeni tym aktem miłosierdzia Bożego nad nami, upraszamy, wywięzując się z części naszego ślubu — Czcigodnego X. Dyrektora o łaskawe ogłoszenie tego listu w *Wiadomościach salezyańskich,* a prosząc Szanowne Zgromadzenie o łaskawe przyłączenie się do nas obojga w modlitwach dziękczynnych za odebraną łaskę, dołączamy skromną ofiarę (10 koron) na szlachetne i tak pożyteczne cele zakładu OO. Salezyanów w Oświęcimiu.

Czernichów, pod Krakowem, 7 lipca 1902 r.

Dr. Ludwik Birkenmajer,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
i Zofia Birkenmajerowa,
małżonkowie.

* * *

Wdzięczność lewity.

Najpokorniejsze dziękczynienie postanowiłem złożyć Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za pomoc, jakiej mi udzieliła w walce wewnętrzej, która stanowić miała o moich dalszych losach. Jej to jedynie, tej Matce Najczulszej, mam do zawdzięczenia mój obecny stan, gdyż Ona mimo trudności i przykrości nigdy nie opuściła mnie; ale jako Matka czuła opiekowała się mną od początku mego życia. Aby sobie nadal opiekę Jej zapewnić, składam publiczne dzięki za wszystkie łaski, jakich szczególnie w tym roku całym mi udzieliła. O niech Ci będą dzięki, Pani moja, po wszystkie dni żywota mego.

Kraków, w lipcu 1902 r.

Karol Procyk,
alumn.

* * *

Przy egzaminie.

Roku bieżącego, poddając się bardzo trudnemu egzaminowi zawodowemu, udałem się z prośbą do Przewielebnego Ojca o odprawienie modlitwy przez dziatwę salezyańską, czyniąc równocześnie przyrzeczenie, iż w razie powodzenia złożę skromną ofiarę na cele salezyańskie. Modlitwę, o którą prosiłem, Pan Bóg raczył wysłuchać i egzamin z pomyślnym wynikiem złożyłem, przeto wywięzuję się z danego przyrzeczenia i składam na cele salezyańskie w ofierze 10 koron Najsł. Sercu Pana Jezusa i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych za doznaną pomoc w tej trudnej sprawie. Proszę o Mszę św. dziękczynną z prośbą o dalszą nade mną i moją rodziną opiekę, oraz na intencyę powodzenia i awansu w obranym zawodzie.

Ulanów (Galicya).

Andrzej Guzek,
c. k. nadstrażnik skarbowy.

* * *

Marya pociesza rodziców.

Z serdeczną wdzięcznością dziękuję Czcigodnym Ojcom za odprawienie w zeszłym roku nowenny za mego syna Wojciecha. Kąpał się on i już był w największem niebezpieczeństwie utonięcia, bo woda go porywała na dno rzeki, gdy zawołał: „Panienko, ratuj mnie!“ i w tej chwili przyszła mu pomoc, gdyż drugi chłopiec go wyratował.

Tenże syn w przeszłym roku został rażony paraliżem, przyczem mowę utracił i nie mógł się w ostatniej godzinie wyspowiadać. Prócz tego nie mógł władać ani ręką ani nogą. My strapieni rodzice udaliśmy się do Najśw. Maryi Panny i Najsł. Serca Jezusowego, do których odprawialiśmy przez cały ciąg choroby nowennę. Wreszcie i Was, czcigodni Ojcowie, poprosiliśmy o nowennę i Mszę św., i zostaliśmy prawie cudem pocieszeni, bo odzyskał mowę i władzę w nodze. Z wdzięczności posyłam małą ofiarę.

Witowo (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Wojciech Strelczyk.

* * *

Marya pociesza stroskaną rodzinę.

Przed trzema laty zapadłem po raz trzeci na zapalenie płuc. Mimo starannej opieki, lekarze zwątpili o mem wyzdrowieniu. Pewnej krytycznej nocy, żona i 6cioro drobnych dzieci otaczali me łoże. Przytomność zachowywałem, i dziwną ufność w Miłosierdzie Boże — żegnałem się z żoną — dzieciom dawałem nauki.

Żona zalana łzami, upada przed obrazem Boga Rodzicy wraz z dziećmi i wzywa pomocy Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, odmawiając stosowną modlitwę. Matka Najświętsza wysłuchała ich próśb! Za Jej to przyczyną przyszedłem wkrótce do zupełnego zdrowia. Nie mam

słów do wyrażenia wdzięczności Najświętszej Pannie za doznane łaski.

Równocześnie z tym listem przesyłam skromną ofiarę 6 k., z tych 3 na odprawienie Mszy św. przed ołtarzem Najświętszej Panny Maryi, Wspomożycielki Wiernych, na podziękowanie za doznane łaski — resztę na cele salezyańskie.

Ruska Wieś (Galicya).

MICHAŁ PELC,
nauczyciel.

***

Półtora roku temu, w zimie, syn mój trzymiesięczny Mieczysław, zasłabł na zapalenie płuc, a gdy poleciłem go Najśw. Matce Boskiej, zdrowie odzyskał. Kilkanaście dni temu znowu zapadł niebezpiecznie na odrę, z której wywiązał się męczący kaszel i pod gardłem utworzyła mu się bolączka. W tem strapieniu poleciłem się Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych i dziecię całkiem wyzdrowiało.

Dawidów (Galicya).

WŁADYSŁAW GORZEŃSKI,
nauczyciel.

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Ludwik Gałązka, *Królewska huta* (Górny Śląsk); Antonina Szołdrska, *Żydowo* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Andrzej Martusiewicz, *Tarnów* (Galicya); Kalikst Lewandowski, *Brzeżany* (Galicya); F. Fryszman, *Jarchorów* (Galicya); p. Chmielnik, *Turka* (Galicya); Jan Łysy, *Koszlaki* (Galicya); Ewa Widera, *Groszlowice* (Górny Śląsk); Stanisława Łanowa, *Olesko* (Galicya); Jan Przełożny *Węzłowiec* (Górny Śląsk); Jan Gołka, *Osielec* (Galicya); Jadwiga Turecka, *Chlebów* (Galicya); Wojciech Lewiński, *Siercza* (Galicya); Alojzy Fida, *Grybów* (Galicya); Jan Swaczyna, *Młoszowa* (Galicya); W. i K. M., *Jordanów* (Galicya); E. Kurz, *Łodygowice* (Galicya); Marya Wagilewiczowna, *Tarnopol* (Galicya); Petronela Kostrakiewiczowa, *Zazulin* (Galicya); Michał Rudna, *Pietrzejowa* (Galicya); Jan Zieliński, Baltazar Niedoszewski, Antoni Zieliński, *Malczewo* (Wielkie Księstwo Poznańskie); p. Failkowska, *Mszana Dolna* (Galicya); Walenty Wróblewski, *Kostrzyn* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan Fabian, *Królewska huta* (Górny Śląsk); Aleksander Kobylański, *Kolbuszowa* (Galicya); Antonina Horodycka, *Delatyn* (Galicya); Izabella Daniłowa, *Młaki* (Galicya); Zygmunt Tułecki, nauczyciel, *Błażowa* (Galicya); ks. Jakób Szurlej, *Sędziszów* (Galicya); Ludomiła Miecznikowska, *Toruń* (Prusy Zachodnie); T. Greffner, *Kopytyw* (Galicya); Franciszek Domański, *Wasylkówce* (Galicya); Józef Mikołajko, *Roczyny* (Galicya); Marcin Gorczyński, *Bożydar* (Prusy Zachodnie); Franciszek Gruca, *Bystra* (Galicya); Józef Pawela, *Strzałkowice* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Emanuel Dziędzioł, *Haatsch* (Górny Śląsk); Jan Kurpierz, *Brynice* (Górny Śląsk); Olga Małodąbrowa, *Krukienice* (Galicya); Ludwik Caspary, *Stryj* (Galicya); Bolesław Taszycki, *Zagorzany* (Galicya); Jan Wilk, *Wiśnicz* (Galicya); Jakób Kras, *Breń* (Galicya); Piotr Bizoń, *Targowica* (Galicya); Jan Wojciechowski, *Brzeżany* (Galicya); Helena Hermannowa, *Waniowice* (Galicya); Wiktor Höhn, *Ostrów* (Galicya); J. Sieradzki, *Krotoszyn* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Józef Kołta, *Lwów* (Galicya); Karolina Kmicikiewiczówna, *Lisko* (Galicya); M. Gawrońska, *Ruska wieś* (Galicya); Karolina Lenartowa, *Siedlec* (Galicya); Marya Majewska, *Bołszowice* (Galicya); Jan Mazur, *Pisarzowice* (Górny Śląsk); M. Lemański, *Złotorya* (Prusy Zachodnie); Chrystyan i Józefa Korzynieccy, *Boritsch* (Górny Śląsk); Józefa Kędrowa, *Wietrzno* (Galicya); Anna Grzeniowa, *Boguwice* (Górny Śląsk); Filip Mateja, *Jeżowa* (Górny Śląsk); Stanisław Czajka, *Poznań*; Fr. Gałecki, *Crone* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Wincenty Braum, *Czerniowce* (Bukowina); Karol Jurek, *Świętochłowice* (Górny Śląsk); Stefania Fredyk, *Piaski* (Wielkie Księstwo Poznańskie); H. M. Kądziela, *Rudziniec* (Górny Śląsk); Józef Kaszewski, *Jarczyn* (Prusy Zachodnie); Aleksander Zyzik, *Zawadzki* (Górny Śląsk); Antoni Tojka, *Brzezinka* (Górny Śląsk); Franciszek i Paulina Siwicowie, *Wirek* (Górny Śląsk); Tomasz Talka, *Kosztów* (Górny Śląsk); Jan Kubicki, *Nabyszyce* (Galicya); Weronika Wolska, *Bolewice* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan Respondek, Sebastyan Pisulki, *Jeżowa* (Górny Śląsk); Jadwiga Dąbrowska, *Gorlice* (Galicya); W. i K. Bruchowie, *Obrzycko* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Stanisław Rydza, *Marzloch* (prowincya nadreńska); Michał Skórka, *Kłodnica* (Górny Śląsk); Eugenia de Biasco-Fanti, *Kulparków* (Galicya); Elżbieta Iboszykiewiczowa, *Żywiec* (Galicya); K. Podlewska, *Skorodyńce* (Galicya); Melania Chmielnikowa, *Turka* (Galicya); Kazimiera Plintawa, nauczycielka, *Jazłowczyk* (Galicya); Jan Roik, *Cieszyn* (Śląsk austryacki); Małgorzata Smektała, *Sułkowice* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Antoni Niemaszek, *Wiznicz* (Galicya); Anna Kokot, *Królewska huta* (Górny Śląsk).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.



KRONIKA SALEZYAŃSKA

Zjazd dyrektorów kaplic świątecznych. — *Kaplica świąteczna w znaczeniu salezyańskiem oznacza taki ogród rozrywki, w którym się młodzież w dni świąteczne zbiera i miasto wałęsać się po ulicach i rynkach, spędza czas na uczciwej zabawie pod okiem czujnych księży i kleryków. Na dany znak młodzież ustawia się w rzędy i idzie na Mszę św. i kazanie, a potem znowu wraca do ulubionej gry. Po południu zapał do rozrywki rośnie a zabawa przybiera nieraz kształty sławnych igrzysk historycznych. Ale przychodzi chwila, kiedy w pewnym kąciku odzywa się dzwonek: młodzież się szykuje i idzie na katechizm, który bywa jej wykładany w sposób przystępny i przyjemny. Następuje kazanie o mocnych kolorach i barwnych obrazach, jak tego wymaga wyobraźnia młodzieży, a w końcu Bóg utajony w Przenajświętszej Hostyi błogosławi młodzież, która wzmocniona na wierze, wraca do swych zabaw i trwa na nich do wieczora. Łatwo zrozumieć jakiej wartości jest taki ogród zabawowy; dla licznej młodzieży jest on jedyną deską zbawienia.*

Szczęśliwy to był pomysł, że zjazd dyrektorów kaplic świątecznych odbyto w dni 21 i 22 maja, bo w ten sposób mogły mieć w nim udział liczne rzesze pątników, którzy t. r. w maju pielgrzymowali do świątyni turyńskiej. Tak walne posiedzenia jako też zebrania poszczególnych komisyi, wypadły nader pomyślnie. „Wychowywać pod względem cywilizacyjnym i religijnym, tak pisze czasopismo włoskie *Fede e scuola*, to zadanie naszych czasów; zadanie tak ważne, że zjazd dyrektorów kaplic świątecznych, który księża Salezyanie przywiedli do skutku, był zaspokojeniem potrzeby powszechnie odczuwanej. Pierwszy zjadz odbył się w Bresci podczas jubileuszowych uroczystości św. Filipa Nereusza. Przew. O. Cottinelli, autor cennej broszurki o warunkach rozwoju kaplic świątecznych, który poświęcił swe życie i mienie pierwszej w tem mieście kaplicy i dostarczył dyecezyi wielu kapłanów a ruchowi katolickiemu dzielnych szermierzy, przewidział że ów pierwszy zjazd jest niejako pierwszem ogniwem złotego łańcucha innych zjazdów, mających to zadanie: podnosić znaczenie kaplic świątecznych. I teraz oto poczynają się urzeczywistniać jego marzenia. Zjazd turyński zaznaczył wyraźnie potrzebę nietylko trzeciego, ale całego szeregu innych zjazdów, które dla rozwoju kaplic świątecznych i czasów, jakie nastały, staną się środkami nieodzownymi dla powstrzymania grasujących przewrotności“.

Te zapatrywania zacnego czasopisma, są bardzo słuszne, albowiem na zebraniach nie było można wyczerpać doskonale programu tak, iż wielką część pozostawiono przyszłym zjazdom, podczas których każdy punkt będzie należycie roztrząśnięty (1). Zjazd rozpoczął w sposób bardzo uroczysty swe narady i prace 21 maja. Przy nabożeństwach wstępnych w kościołach Wspomożycielki Wiernych i św. Teresy wypowiedzieli mowy biskup Barone i kanonik Grosso. Ranne dyskusye na posiedzeniach poszczególnych komisyi odbyły się w pałacu arcybiskupim i to bardzo żywo. Prof. ks. Simonetti z Bielli przewodniczył komisyi dla męskich kaplic świątecznych; ks. dr. Muriano

---

(1) Program zjazdu był następujący:
1sza sekcya: zwnoszenie i zorganizowanie kaplic świątecznych i ich personalu.
2ga sekcya: nabożeństwa, uczęszczanie do sakramentów, kazania i katechizacya.
3cia sekcya: karność, zabawy, szkoła muzyki i dramatyki.
4ta sekcya: oddział starszych, bractwa i kółka, sekcya młodszych, krążące czytelnie, czasopisma.
5ta sekcya: kaplice świąteczne w dni powszednie, patronaty, szkoły wieczorne.
6ta sekcya: nauka religii.
7ma sekcya: kaplice świąteczne żeńskie

i biskup Barone komisyi nauki religii w szkołach wyższych; zaś komisyi dla żeńskich kaplic świątecznych prezydował ks. dr. Diverio.

Sala walnych posiedzeń w Oratoryum salezyańskiem, przedstawia widok imponujący. O godz. 3 po południu przybył J. Em. ks. kardynał Richelmy, w towarzystwie księży biskupów Acqui, Alba, Casale, Susa i Tyberyady, ks. biskupa Limonty, przedstawiającego kardynała medyolańskiego, monsignora Colomiattiego, i różnych kanoników. Przewodniczy Najprzew. ks. Michał Rua, otoczony wiceprezesami i komitetem. Przy bocznym stole siedzi kilku korespondentów dzienników katolickich. Na wezwanie J. Em. kardynała wszyscy powstaja i odmówiwszy modlitwy, powtarzają potrójne pozdrowienie Przenajśw. Sakramentu. Następnie J. Eminencya zabiera słowo, sprasza na prace zjazdu obfitości błogosławieństwa Górnego Syonu, który za pośrednictwem Ojca św. błogosławi katolickich bohaterów. Dodaje, iż spodziewa się obfitego plonu z tego zjazdu, gdyż został oddany w opiekę Najśw. Wspomożycielce Wiernych i zagajony w wigilię Jej święta. Przywodzi na pamięć założyciela ś. p. ks. Bosko, który napawa się radością na widok tego zjazdu, mającego na celu to dzieło, nad którem on całe życie swe przepędził, t. j. zbawienie młodzieży.

Po przemowie ks. Ruy i hucznych oklaskach ks. Trione, sekretarz zjazdu, czyta adresy przeszło trzystu biskupów, wielu dyrektorów kaplic świątecznych i wybitnych osobistości świeckich. Ks. dr. Karol Manucci, omawia prace komisyi dla męzkich kaplic świątecznych, a ks. proboszcz z Mezzanile podaje interesującą relacyę o skutkach kaplicy świątecznej w swojej parafii. Akademik baron Joctean, katecheta w kaplicy św. Feliksa w Turynie gorącemi słowy omawia częste przystępowanie do sakramentów świętych. Ks. Masera, wikaryusz jeneralny dyecezyi Fossano, czyta z zapałem referat ks. biskupa Alessiego. Ks. Trione w sposób nader zajmujący objaśnia popisy i nagrody z nauki religii, wywołując rzęsiste oklaski, gdy napomyka o jubileuszu kapłańskim ks. biskupa Spandre.

Z dwukrotnym oklaskiem przyjęto wniosek, ażeby obecni prałaci podpisali prośbę do Ojca św. o rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego sług bożych ś. p. Józefa Caffasso i ks. Jana Bosko. Prawie wszyscy księża obecni zatrzymali się po zebraniu, aby podpisać prośbę. Ks. Barberis słowy pełnemi doświadczenia mówi o kazaniach w kaplicach świątecznych a ks. dr. Diverio przedstawia na żywo smutne położenie dziewcząt w fabrykach. Ks. biskup Spandre składa serdeczne podziękowanie zebraniu za owacyę, wreszcie ks. biskup Barone kończy posiedzenie gorącem wezwaniem, aby na nauce wiary nie zaniedbywano pracy nad religijnym charakterem studentów.

Następnego dnia pracę komisyi prowadzono z wielkim zapałem, a szczególniej w oddziale kaplic męzkich przedkładano i rozwiązywano kwestye wielkiej wagi. W końcu uchwalono zebrać w trzech osobnych podręcznikach dla kaplic męzkich, żeńskich i dla nauki religii w szkołach wyższych, wszystkie wskazówki, z ja-



„Odkupiciel"
Płaskorzeźba wykonana w szkole ceramicznej w Medyolanie (Włochy).

kiemi doświadczeni radcy na obradach wystąpili.

O godzinie 3 po południu otwiera się drugie walne posiedzenie. Ks. Trione czyta porządek posiedzenia i długi szereg adresów z różnych części świata. Następnie ks. Casanova z Savony padaje obszerne sprawozdanie z kaplicy świątecznej swego miasta. Prof. Bettazzi skreśla bardzo dosadnie niebezpieństwa, na jakie w bieżących czasach młodzież jest narażona i podaje

zarazem środki zaradcze na grasujące wybryki i niedowiarstwo. Słowa tego gorliwego katolika wywierają na obecnych silne wrażenie i zostają przyjęte rzęsistymi oklaskami. Po kilku innych mowcach, którzy się zastanawiali, nad błogimi skutkami, jakie przyniosły kaplice świąteczne i pochwałach oddanych Siostrom i różnym damom za prawdziwe poświęcenie się wychowaniu dziewcząt, powstaje ks. arcybiskup Pampirio i zaleciwszy towarzystwo św. Hieronima dla rozszerzania św. Ewangelii, wyraża nadzieję, że kaplice świąteczne w jego mieście i archidyecezyi nabierać będą coraz większych rozmiarów.

J. Eminencya zakończył posiedzenie, wznosząc do Boga hymn dziękczynny, iż raczył pobłogosławić zjazd w sposób prawie namacalny. Podziękowawszy prałatom i wszystkim uczestnikom, zaleca wszystkim, osobliwie zaś proboszczom i dyrektorom kaplic, aby się zawsze z szczerą miłością wspierali wzajemnie w pracy nad zbawieniem młodzieży.

Pięknym epilogiem zjazdu był wieczorek literacki, odprawiony 22 maja w teatrze Oratoryum salezyańskiego. Muzyka, poezya i wymowa złączyły się w miłą harmonię, aby uczcić tych, którzy się w imię Maryi, św. Karola, św. Filipa i ks. Bosko zebrali w Turynie, aby obmyśleć nowe środki zbawienia młodzieży. Obszerny teatr był szczelnie napełniony publicznością, podczas gdy kapela salezyańska witała przybywających dostojników kościelnych.

Piękna była deklamacya wierszy prof. ks. Pavii, dyrektora głównej kaplicy świątecznej w Turynie. Po nim wystąpiło wielu innych osób słynnych z swej wiedzy, które z równych punktów widzenia omawiały zadanie katolickiego wychowawcy. W końcu Najprzew. ks. Michał Rua dziękuje Najwyższemu i Wspomożycielce Wiernych za szczęśliwy wynik zjazdu i dziękuje J. Eminencyi, biskupom i wszystkim uczestnikom za gorliwy udział.

Zjazd ten przyniesie swe pocieszające skutki. Skutkiem już zapewnionym, jest ta więź braterska, jaka jednoczy duchownych i świeckich oddanych młodzieży. Ta więź jedności będzie im dodawała otuchy w uciążliwej pracy, będzie ich pociechą a przedewszystkiem wskaże im na środki, by za pomocą kaplic świątecznych i nauki religii pracować z coraz to pewniejszym skutkiem nad tą wybraną częścią społeczeństwa. O małoduszność i krótkowidztwo posądzalibyśmy tego, coby myślał, że skutki zjazdu będą się rozwijały tylko koło tych, którzy w nim mieli udział. Liczne parafie i osoby, którym leży na sercu zbawienie młodzieży, nie omieszka skorzystać z wskazówek, rad, zachęceń drugiego zjazdu dyrektorów kaplic świątecznych.

Nowy zakład salezyański. — Kto nie słyszał o wyspie Sardynii, która wśród modrych wód morza śródziemnego maluje się, to jako krajobraz z bujnej riwiery włoskiej, to jako łagodne zielone skłony karpackie? W miasteczku Lanusei, położonem pod jednym z malowniczych wzgórz tej wyspy, odbyły się 14, 15 i 16 czerwca wielkie uroczystości z powodu poświęcenia pierwszego na wyspie zakładu salezyańskiego. Brali udział w uroczystym obchodzie ks. arcybiskup Piotr Balestra, ks. biskup Rajmund Ingheo, ks. biskup Józef Paderi, ks. Rua i inne osobistości. Dnia 14 czerwca, o godz. 10tej, ks. arcybiskup poświęcił zakład, poczem ks. dr. Maciej Ottonello, dyrektor zakładu, odczytał telegram papieski, p. adwokat kawaler Mamial miał odczyt o powstaniu nowego zakładu, p. adwokat Gina deklamował wiersze na cześć ks. Bosko, hr. Sanjust powitał księży Salezyanów imieniem prasy i literatów, a ks. arcybiskup zakończył, życząc, by ks. Bosko został jak najprędzej wliczony w poczet Świętych Pańskich.

Bardzo uroczysto wypadły nabożeństwa kościelne, odbyte w dzień 15ty czerwca: tak okazałych świąt nie widzieli może dotąd wyspiarze.

Po braterskiej uczcie, podczas której najdzielniejsi literaci puszczali na popis swe muzy, udali się wszyscy do kościoła, gdzie zgromadzona ludność czekała na zapowiedzianą konferencyę. Ks. Rua rozwinął temat: *Ks. Bosko narzędziem Boskiej Opatrzności.* Dzień ten zakończył się przedstawieniem dramatu: „Syn Marnotrawny".

Dnia 16 czerwca dano obiad 150 biednym z miasteczka i okolicy, których ks. biskup Paderi obdarzył dobrem słowem a ks. Rua medalikiem Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. O godzinie 5tej zgromadził się lud w kościele, w którym ks. dr. Barra rozwodził się nad znaczeniem dzieł salezyańskich. Po uroczystem *Te Deum*, ks. arcybiskup pobłogosławił lud Przenajświętszym Sakramentem i wkrótce potem pociąg, krążący na około góry, odwoził licznych, dostojnych gości, których ludność żegnała z daleka, powiewając białemi chusteczkami, gdy się pociąg miastu ukazywał.

Dwudziestapiąta rocznica założenia papierni salezyańskiej w Mathi pod Turynem. — Pierwszy dzień czerwca 1902 r. pozostanie głęboko wyryty w pamięci uczciwej i pracowitej ludności miasteczka Mathi. W dniu tym obchodzono święto religijne, robotnicze, salezyańskie.

Zaledwo pociąg poranny, wiozący J. Eminencyę ks. kardynała Richelmiego, ukazał się przy stacyi mieściny, zagrzmiały trąby, uderzono w bębny, a ludność, która się tłumnie zbiegła, na widok wysiadającego arcypasterza, zakrzyknęła jednogłośnie: „Niech żyje!" i rzęsistymi okłaskami powitała gościa.

Stacya kolejowa, dzięki staraniom p. naczelnika, była pięknie przyozdobiona. Na powitanie

ks. kardynała przybyli także okoliczni proboszczowie i władze miejskie z burmistrzem na czele.

Gdy J. Eminencya z Najprzew. ks. Ruą wsiedli do powozu, lud wydał ponownie okrzyk radości. Na drodze do kościoła parafialnego widniały łuki, bramy, flagi, wieńce, napisy na cześć arcypasterza, który, wyciągając obie ręce, zwracał się to na tę, to na ową stronę, błogosławiąc i wyrażając słodkim uśmiechem, jak wielce go przywiązanie swych synów cieszy i uszczęśliwia.

O w pół do jedenastej odprawiła się suma z asystą pontyfikalną. J. Eminencya przemówił do ludu, biorąc temat z początku miesiąca, poświęconego czci Najsł. Serca Jezusowego. Po sumie nieznużony książę Kościoła udzielił obecnym błogosławieństwa Przenajświętszym i odpust stu dni.

Gdy wybiła godzina obiadu, zasiadło do stołu z J. Eminencyą, prócz duchowieństwa i władz miejscowych, także 150 robotników zajętych w papierni. Przy końcu obiadu zaczęto wznosić toasty, które przy ogólnej wesołości były dość liczne. Po wierszach dra Aurelego, powstał pewien robotnik, który w imieniu swych kolegów wyraził ks. kardynałowi uczucia wdzięczności za odwiedziny i za miłość, jaką zawsze okazywał dla tych, którzy pędzą swe życie, pracując w pocie czoła. Po nim wystąpił drugi robotnik i w imieniu swych współmieszkańców dziękował księżom Salezyanom, że w ich mieścinie założyli fabrykę, dającą im pracę i utrzymanie. P. Barale wznosi toast na cześć obecnych redaktorów dwóch gazet, bardzo zasłużonych na polu religijnem a księżom Salezyanom bardzo przychylnych, i zakończył trzykrotnem wiwatem na cześć następcy ks. Bosko, na cześć J. Eminencyi i Ojca św. Leona XIII.

Wreszcie powstał Najprzew. ks. Michał Rua. Jego słowa były pochwałą oddaną robotnikom, którzy zdala od wrogich zawichrzeń, pracują sumiennie i pilnie na swoje utrzymanie; ale jego słowa były też ojcowskiem ostrzeżeniem, aby, nie bacząc na podstępne podszepty socyalistyczne, pracowali zawsze w bojaźni Bożej. Następnie uwiadomił, że zarząd papierni, chcąc okazać robotnikom swe zadowolenie i zostawić im pamiątkę tej rocznicy, postanowił dać nadzwyczajnego wsparcia

200	franków	mężczyznom	pracującym	w	papierni	od	20	lat;
150	„	niewiastom	„	„	„	„	„	„
100	„	mężczyznom	„	„	„	„	10	„
75	„	niewiastom	„	„	„	„	„	„
25	„	mężczyznom	„	„	„	„	5	„
20	„	niewiastom	„	„	„	„	„	„

Oprócz tego corocznie dopisze się 40 franków robotnikom, którzy 20 lat lub 10 pracowali w fabryce, a 20 franków robotnicom; zaś robotnicy, pracujący w fabryce od lat 5 dostaną rocznej dopłaty 25 franków, robotnice 20.

Na tę wiadomość tłum robotniczy zakrzyknął z radości i burzliwymi oklaskami dowiódł, że zrozumiał dobroć swych Ojców i pracodawców, którzy umieją posługiwać się materyalnem wynagrodzeniem, aby utrwalić robotników w wierze, chronić ich od przestępstwa i szalonych wirów socyalistycznych. W ten sposób encyklika Leona XIII *De conditione opificum* święciła w Mathi zupełny tryumf.

W imieniu robotników podziękował Przełożonemu księży Salezyanów za dobroczynność sam kardynał. Cieszył się, że tak poczciwych robotników miał za współbiesiadników, a w końcu wezwał ich, by wznieśli toast na cześć Leona XIII.

Po południu zwiedzano fabrykę i poświęcono uroczyście kilka maszyn. Po ostatniem nabożeństwie ks. kardynał pożegnał uszczęśliwionych mieszczan i wśród okrzyków: *Niech żyje nasz kardynał! Niech żyje ks. Rua! Niech żyje Papież!* ruszył pociągiem do Turynu.



300-lecie Kalwaryi Zebrzydowskiej.

(Notatka jubileuszowa).

W południowo-zachodniej stronie dawnego województwa krakowskiego, w dzisiejszym powiecie wadowickim, o pięć mil od Krakowa, o dwie mile od Wadowic, w uroczej, malowniczej dolinie, rozrzuconej po lewym brzegu Skawiny, pomiędzy dwoma pasmami wzgórz, pokrytych jodłowymi i sosnowymi lasami, rozsiadło się małe a schludne miasteczko, rozgłośne tem, że rok rocznie, od czasów niepamiętnych, zdążają do niego ze wszystkich stron kraju, a nawet z po za jego granic, tysiączne tłumy pobożnych pątników na odbywające się tam w pewnych okresach roku odpusty.

To słynna Kalwarya Zebrzydowska, która przed kilku dniami święciła uroczyście 300-letni jubileusz swego założenia.

Na tę uroczystość, której trwanie oznaczono na cały sierpień, zbiegły się zewsząd dziesiątki tysięcy pielgrzymów, ażeby uczcić święte miejsce, które od trzech stuleci było ostoją i osłodą dla ludzi, szukających pociechy i pokrzepienia w ożywczym zdroju religii, w atmosferze nie zmąconej żadną myślą ziemską ciszy i spokoju. A było to miejsce, jak żadne inne, odpowiednie ku temu celowi. Nic dziw też, że odwiedzali je skwapliwie wielcy i mali, możni senatorowie i ubodzy szaraczkowie, dostojne matrony i skromne mieszczan-

ki, nie licząc już tych tłumów chłopków, które płynęły tu różnobarwną falą, z pieśnią pobożną na ustach, aż hen od Warszawy, Litwy, Wołynia, Podola... Nierzadko także zawitała tu i głowa ukoronowana, nierzadko spotykano tu i obcych możnowładców, z za granic Rzeczypospolitej przybyłych, ażeby poznać to wsławione miejsce. Kroniki miejscowe nie jeden taki zapisują wypadek.

Warto więc, choćby w pobieżnym tylko zarysie, poznać dzieje tej polskiej Jerozolimy, zwłaszcza, że się sposobność ku temu nadarzyła, a odnoszące się do przeszłości Kalwaryi Zebrzydowskiej prace monograficzne, dla swej rzadkości, w niewielu tylko mogą znajdować się rękach.

*

Było to wiosną 1595 roku. Po wspaniałej komnacie lanckorońskiego zamku przechadzał się w myślach zatopiony pan na Lanckoronie, starosta stężycki i krakowski, hetman nadworny, wojewoda lubelski i marszałek w. kor., Mikołaj Zebrzydowski, skierowując co chwila wzrok ku oknu, przy którem, w milczącą dal zapatrzona, siedziała dostojna małżonka jego, Dorota z Fulsztynów Herburtówna. W komnacie było już prawie ciemno, gdy w tem przedarł się do jej wnętrza blask, jakby od ognia pochodzący, a równocześnie rozległ się w niedalekiej kaplicy srebrny głos dzwonka na ,,Anioł Pański". Zdziwieni tak niezwykłą światłością, wychylili się małżonkowie Zebrzydowscy przez okno, ażeby się przekonać o jej przyczynie, i wtedy to ujrzeli rzecz nadzwyczajną, która im oddech w piersiach zaparła i siłą na kolana rzuciła. Oto na przeciwległej zamkowi górze, Żarkiem w one czasy zwanej, widniały trzy jaśniejące krzyże, od których padał jaskrawy blask ogniowy, rozświecając panujące w okół ciemności.

Jak długo trwało to zjawienie — głucho o tem w opowieściach miejscowego ludu; wiadomo tylko, że gdy znikło, pan Zebrzydowski, widząc w tem znak Boga, ślubował zbudować na owej górze świątynię Pańską ku wiecznej tak niezwykłego zdarzenia pamięci. Sprzyjały zaś temu zamiarowi i okoliczności, bo oto jeden z dworzan lanckorońskich, nazwiskiem Hieronim Strzała, wybierał się właśnie w pieszą pielgrzymkę do Grobu Pańskiego. Polecił mu więc pan Zebrzydowski, ażeby przywiózł z powrotem wzory kaplic jerozolimskiej Kalwaryi, na ich bowiem modłę postanowił zbudować świątynię na Żarku. Tymczasem wzniósł tam skromną kaplicę, z trzema czerwono barwionymi krzyżami i osadził w niej pustelnika, polecając mu bezustanne odprawianie modłów.

Oczekiwany z niecierpliwością Strzała wrócił wreszcie z końcem 1597 r. z Jerozolimy, przywożąc z sobą żądane wzory, z gipsu czy z gliny, zamknięte w drewnianych tekach. Sporządzono więc natychmiast plany i przystąpiono do budowy kaplicy Ukrzyżowania, pod którą położono fundamenta dnia 4 października 1600 r., a ukończono ją z początkiem jesieni następnego roku. Aktu poświęcenia kaplicy dokonał legat papieski Klaudyusz Raugoni, w otoczeniu licznego duchowieństwa, z biskupem krakowskim Bernardem Maciejowskim na czele, a w obecności mnogo przybyłych na tę uroczystość z różnych stron Rptej znamienitych panów i dygnitarzy.

Wkrótce potem, po otrzymaniu od zwierzchności duchownej w Radomiu pozwolenia na założenie na Żarku konwentu OO. Bernardynów, przystąpił Zebrzydowski do budowy kościoła i klasztoru. Plany wykonał Jan Maria Bernardonus, jezuita z Włoch, pomiary ziemne uskutecznił słynny matematyk i astronom, Feliks Żebrowski, dozorowali zaś robót trzej, z Lublina przybyli Bernardyni, dla których zbudowano na górze mały, drewniany domek. Uroczyste założenie kamienia węgielnego odbyło się w dzień NP. Anielskiej, 2 sierpnia 1603 r., w obecności licznie zaproszonych gości duchownych i świeckich.



J. E. X. Piotr Balestra Arcybiskup w Cagliari (Sardynia).

Budowa postępowała szybko, nie po myśli jednak Zebrzydowskiego, skutkiem czego powierzył on dalsze jej kierownicto nadwornemu swemu złotnikowi, nazwiskiem Paweł Belga.

W 1605 r., a więc w drugim roku budowy, nadał papież Klemens VIII. budującemu się kościołowi przywilej zupełnych odpustów. Odnośny dokument przywiózł z Rzymu syn Zobrzydowskiego, Jan, który po ukończeniu studyów filozoficznych na uniwersytecie krakowskim, bawił przez dłuższy czas za granicą.

Nadeszły tymczasem burzliwe dla Rptej czasy. Zebrzydowski, pan dumny i ambitny, zarzuciwszy krzyż i habit św. Franciszka, rozniecił pożar wojny domowej i stanął na czele 100.000 szlachty-rokoszan przeciw majestatowi królewskiemu. Szczęście mu jednak nie sprzyjało. Pobity 6 lipca 1607 r. pod Gurowem, ukrywać się musiał dłuższy czas przed karzącą ręką królewską, aż nareszcie 16 maja 1608 r. danem mu było stanąć w obliczu tronu i obrażony majestat królewski przebłagać.

Zawiedziony w ambitnych swoich planach, powrócił senator-rokoszanin, z głową, troskami pochyloną, do dziedzicznej swojej Lanckorony i tutaj, przywdziawszy znowu habit św. Franciszka, objął sam dozór budowy, która dla braku funduszów, bardzo leniwie postępowała. Obecność Zebrzydowskiego dokonała swego, bo oto już w parę miesięcy po jego przybyciu, 4 października 1609 r. kościół był zupełnie gotowy, a niebawem odbyło się uroczyste jego poświęcenie, na które przybył biskup krakowski, Piotr Tylicki w asystencyi licznego duchowieństwa, oraz mnóstwo zaproszonych panów. Pierwszą Mszę św. w nowym kościele odprawił wnuk brata założyciela, ks. Franciszek Zebrzydowski, a służył mu do niej sam Zebrzydowski.

W 1610 r. umarła małżonka Zebrzydowskiego, a owdowiały wojewoda wystawił jej w kościele piękny pomnik. Jest to pierwszy, najdawniejszy pomnik w Kalwaryi. Wkrótce potem, osobnymi przywilejami 1611 i 1612 r. nadał papież Paweł V. kościołowi nowe odpusty.

Sława Kalwaryi rosła tymczasem niepomiernie, a dowodem tego fakt, że już w pierwszym zaraz roku po wzniesieniu kościoła zwiedziło ją około 10 tysięcy pątników z najdalszych zakątków Rzpltej. Przybywali tu także w bardzo wielkiej liczbie Niemcy, dla których wygłaszano niemieckie kazania pod gołem niebem.

Budowa nowych kaplic nie ustawała jednak ani na chwilę, a gdy Zebrzydowski umarł, 17 czerwca 1623 r., w 67 roku życia, rozpoczęte przezeń dzieło prowadził dalej syn jego, Jan, miecznik koronny, starosta lanckoroński i nowokorczyński. Umarł on w 1642 r., pozostawiając dzieło pobożności ojca swego zupełnie już prawie ukończone. Sukcesorowie jego: Franciszek, kasztelan lubelski, zmarły w 1650 r. i Michał, starosta krakowski, zmarły w 1667 r., upiększali jeszcze kościół i kaplice, po nich zaś osiedli prawem dziedzictwa w Lanckoronie i Kalwaryi ks. Czartoryscy, z linii koreckiej, którzy również olbrzymie łożyli sumy na rzecz kościoła i klasztoru. Ich to nakładem skompletowano liczbę kaplic do 46; razem wzięte, tworzą one drogę kalwaryjską. Ostateczne prace około kościoła przypadają na rok 1702, w tym bowiem roku kazała Magdalena Konopacka, żona ks. Karola Czartoryskiego, wojewody krakowskiego, przebudować większą część wnętrza kościoła, t. zw. nawę, począwszy od presbyteryum.

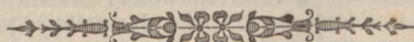
Na zakończenie parę jeszcze szczegółów o odwiedzinach Kalwaryi Zebrzydowskiej przez głowy ukoronowane. Kronika miejscowa kilka takich zapisuje wypadków, świadczą zaś one najwymowniej o tem, jaką czcią otaczano Kalwaryę zaraz od pierwszej chwili jej istnienia.

I tak, był tu w 1621 r., w otoczeniu dworu i licznych dostojników świeckich i duchowych, król Władysław IV., ażeby podziękować Bogu za odniesione pod Chocimem świetne nad bisurmanem zwycięstwo, w dwanaście zaś lat później, w r. 1633, przybyli tu pieszo, w stroju pielgrzymów, dwaj bracia królewscy: Jan Kazimierz i Aleksander. Poprzenio, bo jeszcze przed 1620 r., bawił tu z całym swoim dworem Adam Wacław, książę cieszyński, w dwóch zaś ostatnich stuleciach gościła Kalwarya Zebrzydowska w murach swoich: w 1772 r. cesarza Józefa II., a w. 1817 r. cesarza Franciszka I.

Nierzadko zdarzało się także, że zjeżdżali do Kalwaryi na odpusty rozmaici zagraniczni dostojnicy, a do dziś dnia krążą jeszcze w podaniach miejscowego ludu opowieści o owych dygnitarzach świeckich i duchownych, którzy przybyli tu w 1614 r., w kapiących złotem strojach, aż hen z za Karpat, z Węgier, ażeby zawiesić w kościele drogocenne wota.

A zdarzały się takie wypadki nie raz jeden. Dowodem księgi klasztorne, które ich całe mnóstwo notują. Jest to zaś najlepsze świadectwo owej czci, w jakiej była Kalwarya Zebrzydowska u naszych przodków, tak samo jak jest świadectwo owej czci pobożności i bogobojności. Wszystko z Bogiem zaczynali i wszystko z Bogiem kończyli a zarówno w chwilach szczęścia, jak i żałoby, zawsze pod jego skrzydła się udawali.

Dawne to, bardzo dawne czasy...



Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1902.

PROŚBA DO OJCA ŚW. PAPIEŻA PIUSA IX.

Ojcze Święty,

Od czasu, kiedy Świątobliwość Wasza raczyła ostatecznie zatwierdzić maluczkie *Zgromadzenie św. Franciszka Salezego*, liczba jego członków znacznie się pomnożyła i również pole, pracy jemu powierzonej, rozszerzyło się odpowiednio. Zaczem i potrzeby nasze także się wzmogły, a z rosnącemi potrzebami wzrastał niemniej i zastęp gorliwych kapłanów i osób świeckich, którzy się oświadczyli z gotowością wspierania nas w pracy około zbawienia dusz ludzkich. Atoli ci wszyscy, uznając potrzebę jednolitego a trwałego działania, domagali się pewnych stałych przepisów postępowania, opartych na niewzruszonych podstawach naszej religii. Ojcze Święty, oto w tym celu ułożyłem ustawy dla tak zwanych **Pomocników salezyańskich**, które mają za zadanie wezwać ludzi dobrej wol', żyjących w świecie, ażeby pomagali w pracy na niwie, do której powołał Pan *Pobożne Towarzystwo salezyańskie*.

Świątobliwość Wasza raczyła ustawy one po dojrzałem zbadaniu pobłogosławić i je łaskawie wiernym zalecić. Stąd wielu Biskupów wprowadziło je do swoich dyecezyi, a obecnie listami swymi pochwalnymi skłonili mnie, abym błagał Waszą Świą'obliwość, iżby ze szczególniejszej swej łaskawości raczyła otworzyć dla nich skarby świętych Odpustów. W ten sposób będzie mógł każdy być pewnym, że Świątobliwość Wasza kierunek działania i prace w *kaplicach świątecznych* pochwala i błogosławi, a Pomocnicy salezyańscy doznają ukrzepienia zbawiennego ze strony Religii, dla której z gotowością ponoszą ofiary i trudy.

Błagamy przeto Świątobliwość Waszą, ażeby *zakonnikom Salezyanom* i ich *Pomocnikom* łaskawie raczyła udzielić następujących odpustów:

1. Odpust zupełny w godzinę śmierci, jeżeli ze swego życia Bogu złożą ofiarę i z uległością przyjmą ten rodzaj śmierci, jaki się Jemu zesłać będzie podobało.

2. Odpusty i łaski duchowne, jakich dostępują Tercyarze zakonu św. Franciszka z Asyżu.

3. Ażeby odpustów, przywiązanych do kościołów i świąt św. Franciszka z Asyżu, dostępować można w święta św. Franciszka Salezego i w kościołach *Zgromadzenia salezyańskiego*.

Pełen ufności, że Świątobliwość Wasza dobrotliwie udzieli nam łask, o jakie Ją prosimy, błagam pokornie o osobne błogosławieństwo Apostolskie dla wszystkich Pomocników i Dobrodziejów Zgromadzenia, i składam wyraz najgłębszej czci i synowskiego uszanowania, z jakiem pozostaję

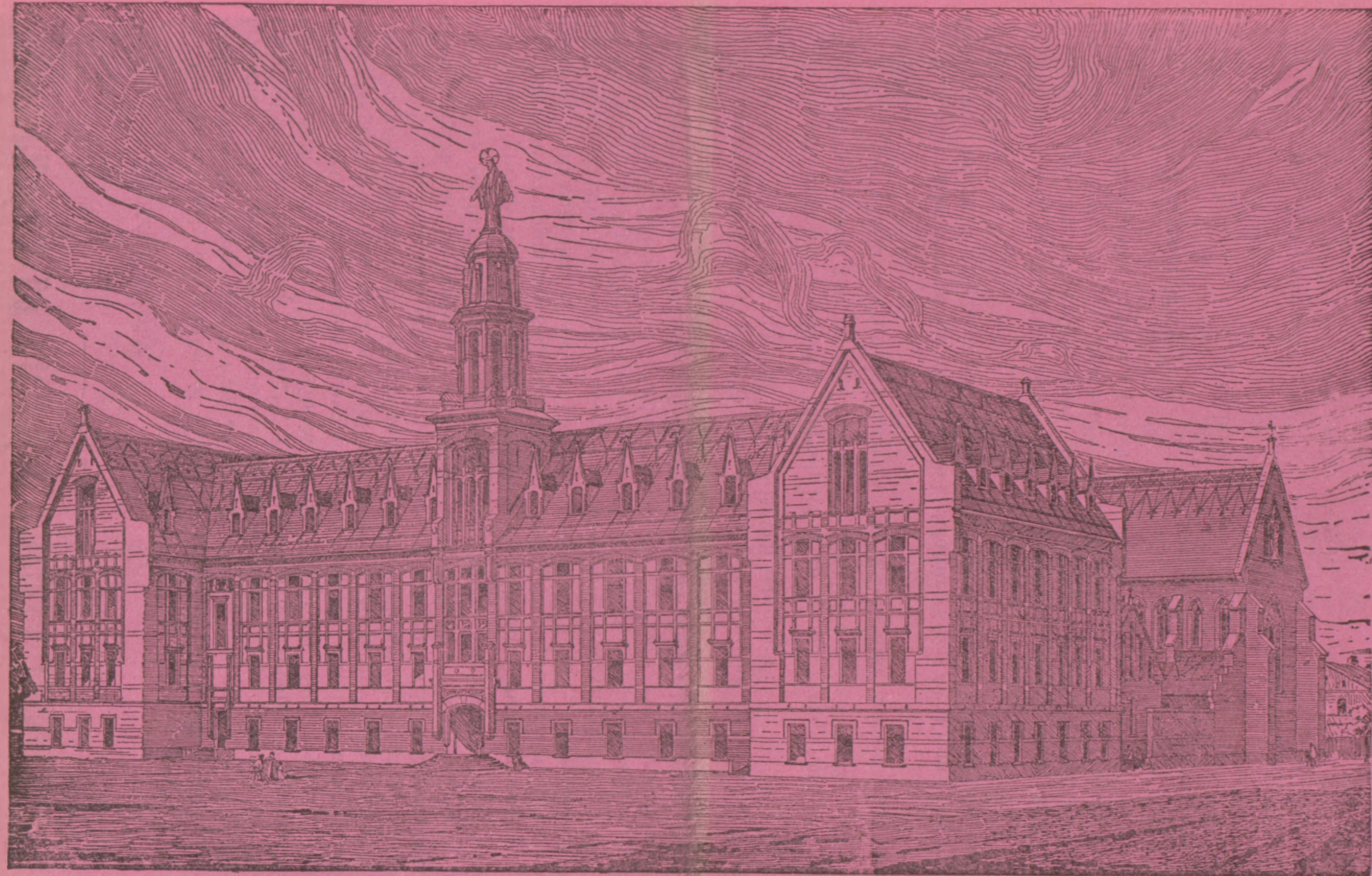
Świątobliwości Waszej

oddany i wdzięczny syn

ksiądz JAN BOSKO.

W Turynie, dnia 4 marca 1876.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



Zakład X. BOSKO w Oświęcimiu